№ 2. Warszawa, dnia 1 (13) Stycznia 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. - Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

FRYDERYK SZOPEN.

(Dalszy ciąg.)

Ale łatwość stylu i delikatniejszy a jednak dosyć zręczny dowcip, uwydatnia się lepiej w listach Szopena pisanych z Szafarni do swoich przyjaciół i kolegów. Aby dać lepiej poznać tego mistrza pióra przytoczymy którykolwiek z listów, naprzykład list pisany do Wilhelma Kolberga z Szafarni dnia 19 stycznia 1824 r.

„Kochany Wilusiu! Dziękuję ci za twoją pamięć o mnie, ale z drugiej strony gniewam się na ciebie, żeś taki brzydki, niedobry, żeś taki *et caetera* i do mnie tylko półpiórkiem piszesz. Czy ci papieru, czy pióra, czy atramentu szkoda było? Możeś czasu nie miał, żeś się tylko przypisał? Ej, bo, to, to! na koniu jeździ, bawi się dobrze, o mnie nie myśli. Ale co tam, daj mi buzi i zgoda.

„Cieszę się żeś wesół i zdrów, bo tego na wsi potrzeba. Mnie jest także bardzo przyjemnie, że do ciebie pisać mogę. Ja się też wcale nie źle bawię, a nietylko ty jeździsz na koniu, alei ja umiem na nim siedzieć. Nie pytaj czy dobrze, ale umiem przynajmniej tak, że koń powoli gdzie chce idzie, a ja jak małpa na niedźwiedziu ze strachem na nim siedzę. Dotąd nie miałem przypadku, by koń mnie zrucił, ale może kiedy zlecę, jeśli mu się spodoba.

„Nie będę ci głowy zawracać mojemy interesami, bo wiem, że ci się to na nic nie przyda. Muchy mi często na wyniosłym nosie siadają, ale to mniejsza, bo to jest prawie zwyczajem tych natrętnych zwierzątek. Komary mnie gryzą, ale i oto mniejsza bo nie u nas. Biegam po ogrodzie, a czasami chodzę. Chodzę do lasu, a czasami jeżdżę, notabene nie na koniu lecz w bryczce, w koczu, lub w karecie z takiemi jednak honorami, iż zawsze na *tyle* siadam a nie na *przodku*.

„Możem cię już znudził, ale cóż robić? Jeżeli zaś nie, napisz na najbliższą pocztę, a ja czemprędzej moje literały kontynuować będę. Bez żadnych tedy komplimentów kończę mój list, ale po przyjacielsku: bądź zdrów kochany Wilusiu, a proszę cię pisz do mnie nie tylko się przypisuj. Za cztery tygodnie widzieć się będziemy.

„Ściska cię serdecznie szczery twój przyjaciel
F. Szopen.

Z listu tego przekonywamy się o dowcipie młodego zaledwie pietnastoletniego chłopca. Pan Karasowski powiada, że wesołość Fryderyka przerywały tylko coraz częstsze kompozycye przeznaczone do druku.

Czasami, pisze biograf, myśl jakaś tak dalece nim owładnęła, że stawał się milczącym, pogrążonym w sobie; siadał w kąciku unikając ludzi i rozmów; gdy do niego mówiono odpowiadał monosylabami jak nieprzytomny. W tych chwilach był wyłącznie oddany muzyce. Nazywa się to pracą wewnętrzną a Fryderyk oddawał się jej tak namiętnie, że po nocach sypiać nie mógł. Częstokroć zrywał się z posłania i biegł do fortepianu. Rodzina umiała szanować w nim takie chwile: służące płakały nad nim sądząc że panicz ma bzika.

Silniej jeszcze może w zadumę wprawiały go pieśni i melodye ludowe, przysłuchiwał się im niejednokrotnie, odnajdując sam akordy zupełnie oryginalne i właściwe polskie. I te zapewne stanowią ziarno i zarodek przyszłych „mazurków".

Wewnętrzna ta praca podkopała zdrowie Fryderyka tak dalece, że doktorzy zalecili mu opuścić kraj i wyjechać do Reinertz, gdzie go też niezwłocznie wraz z siostrą Emilią wyprawiono. Oderwanie od pracy przyczyniło się wiele do podratowania nadwątlonego zdrowia.

Następne lato przepędził w Poznańskiem u pani Niesiołkowskiej, gdzie poznał się ze słynnym melomanem księciem Ant. Radziwiłłem.

Liszt w swojej pracy o Szopenie, utrzymuje, że Radziwiłłowi jedynie zawdzięcza młody muzyk swoje wykształcenie. O ile nam wiadomo, Liszt posiadał tę wiadomość od Franciszka Grzymały. Karasowski jednak stanowczo zaprzecza temu. Bo też w rzeczywistości co do wykształcenia umysłowego nie potrzebował Fryderyk od nikogo pomocy, gdyż mając ojca światłego profesorem, mógł otrzymać większą i staranniejszą edukacyę niż ktokolwiek inny. I tak rzeczywiście się stało. Co się zaś tyczy karyery muzycznej, to niezaprzeczenie znaczne sumy wydawane były na jego podróże, które odbywał w celu dalszego kształcenia się, ale wydatki te pokrywane były własnym kosztem, po większej części z pieniędzy zebranych na koncertach, lub z pomocą ojca, którego dochody w zupełności na to pozwalały.

Jedną z pierwszych takich podróży była podróż do Berlina.

Ale Berlin nie wywarł na nim wielkiego wrażenia. Podróż ta była raczej przejażdżką, gdyż trwała zbyt krótko, by Fryderyk mógł się dać słyszyć, lub zawrzeć stalsze stosunki artystyczne. O wiele ważniejszą w następstwa była podróż do Wiednia, odbyta w 1829 roku. Streszczenie tych chwil w życiu Szopena jest niezmiernie trudne. Listów z tej epoki jest dosyć, ale stanowią one prawdziwy kalejdoskop w którym ludzie i stosunki zmieniają się co chwila. Tu młody Szopen zawiera mnóstwo znajomości, poznaje prawie wszystkich głośniejszych muzyków a rozglądając się w ich świecie, przekonywa się poniekąd o własnej wartości, o której w Berlinie nie miał jeszcze żadnego wyobrażenia. Wypada tu jeszcze nadmie-

nić, że za tej pierwszej jego bytności w Wiedniu przyjmują go najuprzejmiej, ułatwiając mu wszelkie trudności, jakie nasuwały wystąpienia publiczne, co więcej witają go oklaskami, uwielbiają grę z podziwem, tak dalece że młody Szopen jest zdziwiony tem prrzyjęciem.

Listy jego do rodziny i przyjaciół są przepełnione radością i poczuciem własnej siły.

Echo tryumfów wiedeńskich odbija się w Warszawie, Szopen wraca do kraju już z zagranicznym patentem na znakomitość. Miejscowe pisma „Kuryer Warszawski" i „Dziennik Urzędowy". zamieszczają dytyramby na rzecz młodego muzyka. W domu zaś myślą o wyprawieniu go do ojczyzny artyzmu do Włoch, w których całe życie umysłowe ówczesne skupia się około sztuki. Publiczność ginie za śpiewem i muzyką; artyści i śpiewacy faworyzowani i wogóle wszystkie siły muzyczne koncentrują się w kierunku dramatycznym w kierunku tworzenia oper. Prądowi temu nie oparłby się prawdopodobnie i Szopen, gdyby podróż jego przyszła do skutku. Tymczasem po powrocie z Wiednia Szopen zakochał się. Pierwszym jego ideałem była Konstancya Gładkowska, śpiewaczka, wychowanka konserwatoryum.

„Sam zapewne uznasz, pisze Szopen do Tytusa Wojciechowskiego w Warszawie, potrzebę mego powrotu do Wiednia, nie dla panny Blahetki, o której ile mi się zdaje pisałem, bo już może na moje nieszczęście mam ideał, któremu *wiernie, nie mówiąc z nim,* już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem: „Adagio" do mojego koncertu (E-moll).

Reszta listów z tej epoki nie wyjaśniają nic więcej, tu lub owdzie znajdzie się sucha wzmianka o pannie Gładkowskiej, występującej z lepszem lub gorszem powodzeniem na scenie i trwa to aż do 4-go września 1830 roku. Termin wyjazdu za granicę zbliża się, ze smutkiem też notuje w liście do swego przyjaciela:

„Powiadam ci, że już mnie szały napadają jak zwykle. Jeszcze siedzę. Nie mam dość sił do wybrania dnia na wyjazd. Myślę że opuszczam po to, bym nigdy już nie wrócił do domu, myślę, że jadę umrzeć, gdzieindziej, między obcymi.

Były to słowa prorocze, lubo pisane tylko w chwili złego usposobienia. Szopen nie przypuszczał jeszcze, jakie wypadki oddzielają go od domu i od kraju.

Potem znów wzmianka o ideale słabnie zupełnie, aż wreszcie zdając sprawę z jakiegoś cudnego kwintetu, w którym brał udział, tak pisze: „dziwisz się żem nie zasnął? Ale kiedy taka ładna panna tam była, co mi mój ideał bardzo przypominała. Wystaw sobie przesiedziałem do trzeciej po północy."

Pan Karasowski nie przypisuje jednak Szopenowi, aby ta miłość była silną i głęboką. Wprawdzie opuszczając Warszawę Szopen dostał od panny Konstancyi pierścionek na pamiątkę. Nic więc dziwnego, że gdy później był sam zagranicą, gdy spotkał się tam z obojętnością, wtedy z pewnem rozczuleniem garnął się myślą do tej, która w nim najpierwsza serce do kochania rozbudziła.

Zawsze to ciepło serdeczne, które bodajby przyjaźń nasuwała, było Szopenowi bardzo przyjemnem co aż nadto świadczy list do Jana Matuszyńskiego, gdzie czytamy:

„Wiedeń. Dzień Bożego narodzenia. Niedziela rano.

Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów. Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek gryzę i piszę." Dalsza część listu gorąca i miłosna, zdaje się nawet świadczyć o głębszem uczuciu, zwłaszcza, kiedy prosi Matuszyńskiego:

— Uspokój ją, powiedz, że póki sił starczy, że do śmierci, że po śmierci jeszcze mój popiół będzie się słał pod nogi. Ale to wszystko mało cobyś ty mógł powiedzieć, ja napiszę! Jużbym był dawno napisał, nie męczyłbym się tak długo, ale ludzie!... Gdyby to przypadkiem w cudze ręce wpadło, jej sławie szkodzićby mogło... Więc lepiej ty bądź moim tłomaczem..

List więc rzewny i czuły, zdawałoby się nawet że prawdziwe uczucie w nim płonie. Ale z drugiej strony musimy zaznaczyć, że panna Konstancya w dwa lata potem poszła zamąż a listy Fryderyka późniejsze nie wspominają nic o niej.

W Wiedniu zaskoczyły Fryderyka wielkie wypadki 1830 roku. Wojciechowski, który podówczas z nim bawił udał się natychmiast do kraju. Szopen w pierwszej chwili porwał pocztę i gonił za nim kilka stacyi, ale niedogoniwszy wrócił do Wiednia i pisywał rozpaczliwe listy.

(*D. c. n.*)

Do kwiatka.

Powiedz mi kwiatku, kto cię wplótł do wieńca,
Pomiędzy ciernie życia i piołuny,
Że się twój oddech plącze w pieśń szaleńca,
I same tkliwe poruszasz w nim struny?

Ach! powiedz kwiatku, czy czarów zaklęcie,
Krasi urokiem twe listki pieszczone,
Że myśli biegną w twe drobne objęcie,
Zbierać z wspomnienia sny moje prześnione?

Czy szacie twojej dała farby tęcza,
A łezkę rosa — liść trawki z mogiły,
Że chociaż wątły, jak siatka pajęcza,
Tyle posiadasz uroku i siły?

Ach! patrząc na cię przez łzy i rozpacze,
Zda mi się — tobie żal jest samotnika,
I tem na chwilę ukoję twe płacze,
I radość jakaś me serce przenika.

Tobą jest pełen każdej myśli wątek,
Myślą o tobie świat mój poroniony,
Ty do mych biednych plączesz się pamiątek,
Choć możesz krasić bogate salony.

O! ty nie więdnij, lecz żywą piosenką,
Zbieraj straconych, złotych chwil okruchy,
Tyś mi tak drogi, że swą zimną ręką,
Nigdy nie sięgnę po krasy twej puchy.

Bo ty mi kwiatku wplotłeś się do wieńca,
Pomiędzy ciernie życia i piołuny,
Ty wywołujesz płomienie rumieńca,
Ty jeden lutni mej poruszasz struny!

Janusz Bończa.

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

Po skończonym tym małym przeglądzie, Bettina nie spiesząc się wcale, zdjęła swe długie, szwedzkie rękawiczki i zastąpiła je grubemi z łosiowej skóry, wyjętemi z kieszonki fartucha powozu. Potem zgrabnie usiadła na koźle, na miejscu Edwarda, zręcznie i z niezmierną szybkością z rąk jego lejce i bicz odbierając, tak że małe lecz niecierpliwiące się koniki, zmiany tej nie spostrzegły. Pani Scott usiadła obok siostry. Poneye grzebały ziemię, kręciły się i trochę nawet dęba stawały.

— Niech pani raczy uważać — rzekł Edward— poneye dziś bardzo się rozswawoliły.

— Bądź pan spokojny — odpowiedziała Bettina — znam ja je dobrze.

Miss Percival miała rękę bardzo pewną, bardzo lekką i bardzo wyrobioną. Przytrzymała i uspokoiła koniki po kilku chwilach, zmusiła je aby równo stały, potem zgrabnie świsnąwszy długim biczem po nad lejcowemi końmi, równo ruszyła z miejsca, zręcznie wyjeżdżając z dworcowego dziedzińca, wśród przeciągłego szmeru uwielbienia mocno zadziwionych widzów.

Lekki kłus czterech poneyów dzwonił po spiczastych kamykach bruku. Bettina, przez całe miasteczko jechała wolno, zaprzęg swój wstrzymując, ale gdy znalazła się za miastem i ujrzała przed sobą z parę kilometrów drogi zupełnie równej, bez wzgórków i dołów, w kłus wyciągnięty stopniowo wprowadziła swe konie.. a miały one kłus szalony.

— Ach! jakże jestem szczęśliwą, moja Suzie — zawołała. — Otóż będziemy kłusować i galopować same jedne po tych drogach... Czy chcesz Suzie, powozić na mojem miejscu? Ja ci ustąpię. To taka przyjemność pozwolić im, aby pobiegły. One takie rącze a takie posłuszne! Masz, bierz lejce.

— Nie, mam dość przyjemności widząc, że ty się bawisz.

— O! mnie to bawi i jak jeszcze! Ja tak to lubię... powozić czterema końmi w lejc, mając przed sobą dosyć miejsca, aby one wybiegać się mogły!... W Paryżu, nawet z rana, nigdy nie śmiałam, nadto patrzano na mnie... to mnie mieszało... Ale tu... nikogo!... nikogo!... nikogo!...

W chwili gdy Bettina, już trochę upojona świeżem powietrzem i przyspieszonym ruchem, tryumfalnie rzucała swoje trzykrotnie: „Nikogo! nikogo! nikogo! jakiś jeździec ukazał się na drodze, stępą naprzeciw powozu się zbliżając.

Był to Paweł de Lavardens... Już czekał od godziny, aby mieć przyjemność zobaczyć Amerykanki.

— Mylisz się Bettino — rzekła Suzie — ot jest i ktoś.

— Wieśniak jakiś... Chłopi się nie liczą; oni o moją rękę prosić nie będą.

Paweł de Lawardens, gdy go powóz mijał, sklo-

nił się obu siostrom z najwyszukańszą elegancyą, po której łatwo Paryżanina poznać można było.

Poneye szły takim kłusem, że spotkanie miało szybkość błyskawicy. Bettina zawołała:

— Kto jest ten pan co się nam ukłonił?

— Zaledwo miałam czas spojrzéć na niego, ale zdaje mi się, że go znam trochę.

— Znasz go?

— Zdaje mi się, nawet bym się założyła, żem go tej zimy widziała u siebie.

— Mój Boże! czyżby to był który z moich trzydziestu czterech? Czy mi tu nie dadzą pokoju?

VI.

Tegoż samego dnia, o wpół do ósmej, Jan przyszedł na probostwo po księdza Konstantego i razem udali się drogą do zamku wiodącą.

Już od miesiąca, prawdziwa armia robotników i rzemieślników, opanowała zamek Longueval, zajazdy i szynki wioski majątki robiły. Ogromne wozy i bryki przywiozły z Paryża meblę i obicia.

Na dwa dni przed przyjazdem pani Scott, udało się pannie Marbeau, dyrektorce poczty i pani Lormier, merowej, wejść i szczegółowo obejrzéć zamek; ich opowiadania wszystkim głowy zawróciły.

Stare meble znikły, gdzieś na strychy powynoszone. Przechadzały się te panie pośród zbioru najrozliczniejszych cudowności. A stajnie! a wozownie! Osobny pociąg przywiózł z Paryża, pod najwyższym nadzorem Edwarda, dziesięć powozów, a jakie powozy, i ze dwadzieścia koni, ale jakich koni!

Księdzu Konstantemu się zdawało, iż wie co to jest zbytek. Raz na rok, obiadował on zawsze u swego biskupa, ks. Foubert, prałata bardzo uprzejmego i majętnego, który lubił przyjmować wystawnie. Proboszcz, aż dotąd, myślał zawsze, że nic nie może być wspanialszego nad pałac biskupi w Souvigny, oraz zamki de Lavardens i de Longueval. Teraz poczynał rozumiéć, z tego co opowiadano o nowych splendorach Longuevalu, że zbytek wielkich dzisiejszych domów, o wiele przechodzić musiał surowy i poważny przepych mieszkań dawnych panów.

Zaledwo probosz i Jan przeszli kilkanaście kroków aleją parku do zamku prowadzącą, ksiądz się odezwał:

— Patrz, Janie, jaka tu zmiana! Cała ta część parku była zupełnie opuszczoną... a teraz wszędzie tu wysypano piaskiem, wygracowano. Teraz nie będę się czuć tu jak u siebie, jak to dawniej bywało. Będzie tu zanadto pięknie dla mnie! I pewno nie znajdę już mego starego fotelu, aksamitem orzechowym wybitego, w którym nieraz po obiedzie zdrzemnąć mi się zdarzyło... A jeżeli dziś się zdrzemnę, to byłoby okropne! Zmiluj się Janie, uważaj!... Gdyby mi się oczy kleić poczynały, to zajdź z tyłu i uszczypnij nieznacznie... Przyrzeknij mi, że tak zrobisz.

— Dobrze, mój ojcze, przyrzekam.

Jan nie zwracał wielkiej uwagi na rozmowę proboszcza. Uczuwał niezmierną niecierpliwość zobaczyć jak najprędzej panią Scott i jej siostrę; ale ta niecierpliwość łączyła się z żywym niepokojem. Czy w wielkim salonie Longuevalu, będą one takie, jakiemi je widział w skromnej, biednej izdebce probostwa? Może w miejscu tych dwóch kobiet tak pełnych prostoty i miłej poufałości, zabawiających się tym improwizowanym obiadkiem, które z takim wdziękiem i szczerością go przyjęły, znajdzie dwie piękne światowe lalki, eleganckie, zimne, konwencyonalne. Czyż pierwsze wrażenie jego zatrze się i zniknie?... Czy może stanie się silniejszem i sercu jego milszem jeszcze?

Po sześciu szerokich schodach weszli na ganek i w sieniach zostali przyjęci przez dwóch ogromnych służących o fizyognomiach milczących i poważnych. Dawniej ta sień była wielka, zimna i pusta, o smutnych murach z ciosowego kamienia, dziś mury te okrywały prześliczne obicia, przedstawiające sceny mytologiczne. Ksiądz przechodząc, zaledwie rzucił okiem na tę nową dekoracyę, lecz spostrzegł, że boginie przechadzające się wśród zieloności, ubrane były ze zbyt starożytną prostotą.

Jeden ze służących otworzył na oścież drzwi wielkiego salonu. Tam to zwykle siadywała stara margrabina, po prawej stronie wysokiego kominka, a po lewej było miejsce orzechowego fotelu. Proboszcz rzucił okiem w tę stronę, nie ma starego fotelu. Dawne meble z czasów cesarstwa salon ubierające, znikły także, zastępowały je cudowne meble gobelinowe z końca ostatniego stulecia. A nadto, mnóstwo małych fotelików i kozetek, wszelkich barw i kształtów, porozrzucanych tu i owdzie w pozornym nieporządku, będącym jednakże szczytem sztuki.

Pani Scott, widząc wchodzących proboszcza i Jana, wstała, idąc na ich spotkanie.

— Jakże wdzięczną jestem, szanownemu księdzu proboszczowi — rzekła ona — iż przyjść raczył... i panu także dziękuję... niezmiernie jestem rada iż znowu widzę moich pierwszych, moich jedynych przyjaciół w tym kraju!

Jan odetchnął. Była to ta sama kobieta.

— Pozwolisz, księże proboszczu — dodała pani Scott — abym ci zaprezentowała moje dzieci?... Harry, Bella... chodźcie tu!

Harry, był to bardzo ładny chłopczyk lat sześciu, a Bella prześliczną pięcioletnią dziewczynką, oboje mieli wielkie czarne oczy matki i jej złociste włosy.

Kiedy proboszcz ucałował dzieci, Harry, który z zachwyceniem przypatrywał się mundurowi Jana, odezwał się do matki:

— A to żołnierz mamo? Czy trzeba także pocałować i pana żołnierza?

— Jeżeli chcesz — odpowiedziała pani Scott— i jeśli on pozwoli.

W minutę potem, już dzieci były rozkwaterowane na kolanach Jana i zasypywały go pytaniami.

— Pan jesteś oficerem?

— Tak, jestem oficerem.

— W jakim wojsku?

— W artyleryi.

— Artylerya... to to co z armat trzela?... Ach! jakbym chciał słyszéć jak z armat strzelają i być blizko, bardzo blizko!

— Zabierz nas z sobą jak będą z armat strzelać. Dobrze? weźmiesz nas?

Pani Scott przez ten czas rozmawiała z proboszczom, a Jan odpowiadając na zapytania dzieci patrzył na nią jak w tęczę. Miała na sobie suknię białą muślinową, ale muślin znikał pod istną lawiną drobniutkich wolancików koronkowych. Suknia z przodu szeroko w kwadrat była wycięta. Ręce aż po łokieć obnażone. Wielki bukiet z róż czerwonych u stanika i jedna także róża we włosach, brylantową szpilką przytrzymana, nic więcej.

Pani Scott spostrzegła wkrótce, że Jan przez dzieci był militarnie zajęty.

— O jakże ja pana przepraszam za nie — zawołała — Harry! Bella!

— Błagam panią, niech mi je pani zostawi.

— I jak mi przykro, że obiad się spóźnia. Siostra moja coś nieprzychodzi. A! otóż i ona.

Bettina weszła do salonu. Takaż sama sukienka muślinowa, ta sama obfitość koronek, takież róże czerwone, ten sam wdzięk, taż sama piękność, takież same przyjęcie szczere, uprzejme, wesołe.

— Witam szanownego księdza proboszcza. Czy raczyłeś mi już przebaczyć niedyskrecyą, której się dopuściłam przeszłym razem?

Potem zwróciła się do Jana i podając mu rękę:

— Dobrydzień panu... panie... Jest! już nie pamiętam pańskiego nazwiska... a pomimo to wydaje mi się jakbyśmy już byli starymi przyjaciołmi.

— Jan Reynaud — z ukłonem odpowiedział młody oficer.

— Jan Reynaud... dobrze. Witam więc pana, panie Reynaud, ale odrazu uprzedzam, że jak już będziemy zupełnie dobrymi przyjaciołmi, ot tak, za dni ośm, nazywać będę pana, panem Janem... Jan to bardzo ładne imię.

Kamerdyner wszedł i oznajmił, że obiad podano. Guwernantki przyszły zabrać dzieci. Pani Scott wzięła pod ramię proboszcza, Jan podał rękę Bettinie. Aż do chwili zjawienia się w salonie tej ostatniej, Jan w duchu powtarzał sobie: „Pani Scott jest ładniejszą!" Ale kiedy uczuł drobną rączkę Bettiny, opierającą się na jego ramieniu i kiedy ujrzał jej śliczną twarzyczkę ku sobie zwróconą, pomyślał: „Nie, piękniejszą bez zaprzeczenia jest miss Percival!" Lecz znowu powrócił do dawnej niepewności gdy usiadł przy stole między obu siostrami. Kiedy spozierał w prawo, czuł się zagrożony i lękał się zakochania... a jeśli zwracał się w lewo, niebezpieczeństwo zmieniało miejsce i na lewą stronę przechodziło.

Rozmowa się ożywiła, łatwa, zajmująca, przyjacielska... Obie siostry były uszczęśliwione. Odbyły przedtem długą przechadzkę pieszą po parku. Nazajutrz układały sobie dłuższą jeszcze przejażdżkę konną, po lasach. Konna jazda była namiętnością ich obu, szaleństwem prawie. A była to także i namiętność Jana, co było przyczyną, iż po upływie kwadransa, proszono go, aby należał do tego spaceru. Przyjął, rzecz prosta, z najżywszą radością. Nikt lepiej od niego nie znał całej okolicy, to był kraj jego. Będzie się czuć tak szczęśliwym, ukazując im tysiące miejsc prześlicznych, których by bez niego, nigdy odkryć nie zdołały.

— Pan codzień jeździsz konno? — zapytała Bettina.

— Codzień, a najczęściej dwa razy na dzień. Z rana z obowiązku służby, a wieczorem dla własnej przyjemności.

— Czy bardzo rano?

— O wpół do szóstej.

— O wpół do szóstej, każdego rana?

— Tak jest, wyjąwszy niedzieli.

— A więc pan wstajesz?...

— O wpół do piątej.

— I już dzień wtedy?

— W tej porze roku dzień wielki.

— Wstawać codziennie o wpół do szóstej, to prześlicznie!... My dzień nasz nieraz kończymy o godzinie w której pan swój rozpoczyna. I ten stan swój, czy go pan lubisz?

— I bardzo, proszę pani. To tak jest dobrem,

mieć swoje życie prosto wytknięte przed sobą, z obowiązkami wyraźnemi i jasno określonemi.

— Jednakże—rzekła pani Scott — nie być panem siebie, zawsze słuchać!...

— I to może najwięcej lubię. Nie ma nic łatwiejszego jak słuchać... a potem, nauczyć się słuchać, to jedyny sposób nauczyć się rozkazywać.

— To co pan mówisz, jakże wielką musi być prawdą.

— Zapewne — wtrącił proboszcz — ale dlaczego on nie mówi, że jest uważany za najdystyngowańszego oficera w całym pułku, że...

— Ależ proszę cię, mój ojcze...

Proboszcz, pomimo protestacyi Jana, już miał rozpocząć panegyryk swego chrzestnego syna, gdy wdanie się Bettiny go powstrzymało:

— To niepotrzebne, księżę proboszczu, nic pan nie mów... Wszystko cobyś księżę proboszczu mógł powiedzieć, my już wiemy. Byłyśmy tak niedyskretne, żeśmy zbierały wiadomości o panu... Och! o mało nie powiedziałam o panu Janie... o panu Reynaud... I cóż! były one niezmiernie pochlebne, te wiadomości!

— Byłbym bardzo ciekawy poznać je — rzekł Jan.

— Nie, nie... nic się pan nie dowiesz. Nie chcę abyś się pan zarumienił, a musiałbyś się zarumienić.

Potem zwracając się do proboszcza:

— Ale i o was, księżę proboszczu, mieliśmy także dokładne relacye. Pokazuje się, że po prostu jesteście świętym...

— O! co do tego, to wielka prawda — zawołał Jan.

Tym razem już proboszcz przerwał uniesienie Jana. Obiad miał się ku końcowi. Obiad ten, dla starego księdza, nie odbył się bez silnych wzruszeń. Kilkakrotnie podawano mu jakieś budowle uczone i wielce komplikowane, do których drżącą tylko sięgał ręką, z obawy aby nie runęły te piękne rzeczy: chwiejące się zamki z galaret, piramidy z trufli, fortece z kremów, bastiony z ciastek lub skały z lodów. Zresztą, ksiądz Konstanty jadł z wielkim apetytem i nie cofnął się nawet przed dwoma lub trzema kieliszkami szampańskiego wina. Lubił on czasami zjeść dobrze. Doskonałość nie jest tego świata i gdyby łakomstwo było, jak utrzymują, tak ciężkim grzechem, ilużby dobrych proboszczów i zacnych prałatów w piekle pokutowało.

Podano kawę na terasie, przed zamkiem, w oddali słychać było niewyraźny dźwięk starego wioskowego zegara, wydzwaniającego dziewiątą godzinę. Łąki i lasy usypiały. Park już przedstawiał się tylko w liniach chwiejnych i niewyraźnych. Księżyc, powoli zaczynał się wychylać z nad wierzchołka drzew największych.

Bettina wzięła ze stolika pudełko z cygarami.

— Palisz pan? — rzekła do Jana.

— Tak jest, pani.

— A więc bierz, panie Janie... Tem gorzej, ale już powiedziałam!... Bierz i pal... Ale nie, posłuchaj najprzód.

I zaczęła mówić półgłosem, podając mu pudełko z cygarami.

— Teraz już ciemno, możesz rumienić się ile zechcesz. Powiem to czegom nie chciała powiedzieć przed chwilą, przy obiedzie. Stary notaryusz z Souvigny, który był pańskim opiekunem, przyjeżdżał do Paryża, do mojej siostry, dla odebrania pieniędzy za ten majątek. Opowiadał on nam o tem coś uczynił po śmierci ojca, kiedy jeszcze byłeś dzieckiem, ażeby zabezpieczyć los tej biednej matki i tej biednej młodej dziewczyny. Bardzo to nas rozczuliło, mnie i siostrę.

— Tak jest — dodała pani Scott — i dlatego z taką przyjemnością widzimy dziś pana u siebie. Nie każdego przyjęłybyśmy w ten sposób, bądź przekonany o tem. A teraz, weź cygaro i zapal, moja siostra czeka z pudełkiem.

Jan nie znalazł słowa odpowiedzi. Bettina stała tuż przed nim z pudełkiem cygar w obu rękach, z oczyma utkwionemi w twarz Jana. Doświadczała tej przyjemności, bardzo istotnej i bardzo żywej, która mogłaby się wyrazić temi słowami:

— Zdaje mi się, że patrzę na zacnego chłopca.

— A teraz — rzekła pani Scott — usiądźmy tu, wobec tej ślicznej nocy... Pijcie panowie kawę i palcie cygara...

— I nic nie mówmy, Suzie, nic nie mówmy. Ta wielka cisza wiejska, po tym wielkim hałasie Paryża, jest cudowną! Posiedźmy nic nie mówiąc, patrząc na niebo, księżyc i gwiazdy.

(*D. c. n.*)

Z Pragi Czeskiej.

Uniwersytet czeski. — Uczniowie. — Męczennicy za idee. — Dr. Nowotny. — Nowy pomnik. — Teatr i jego odbudowanie. — Twórca planów teatralnych pan Józef Zitek. — Ostatnie utwory. — Jarosław Vrchlicki. — Swatopluk Czech. — Neruda. — Krasnohorska. — „Pan Tadeusz” „Oswieta” p. Vlczek.— „Lipany”.

Na pierwszym planie musimy postawić sprawy uniwersytetu czeskiego, o którym w przeszłości obszerniej powiemy. Tu wypada nam tylko zaznaczyć, że dwa wydziały prawniczy i filozoficzny z wielką uroczystością zostały otwarte w początkach nowego szkolnego roku. Liczba uczęszczających tu studentów bardzo znaczna, albowiem na dwa wydziały zapisało się przeszło 850 słuchaczów, wraz z uczniami nadzwyczajnymi i farmaceutami.

Mimo woli nasuwa nam się tu postać, którą niedawno temu Czesi uczcili skromnym, ale bardzo pięknym pomnikiem. Jest nią Dr. Franciszek Nowotny, docent medycyny na uniwersytecie pragskim, który zmarł dnia 3 lipca 1879 roku.

Należał on do tych ludzi, którzy całe swoje życie poświęcili walce za idee, służąc jej wiernie aż do grobu. Uczeń i potem przyjaciel słynnego Purkyniego, doktora medycyny, który i w naszej literaturze medycznej zapisał swoje imię, Nowotny popierany jako zdolny człowiek przez tegoż rozpoczął wykłady na wszechnicy pragskiej w zakresie fizyologii. Wkrótce potem katedra została opróżnioną. Nowotny miał ją zająć, potrzeba tylko było na to otrzymać postanowienie wydziału. Profesor Seyfert popierał tę kandydaturę, ale przyjaciele rodacy Nowotnego, cofnęli swe głosy. Nowotny jednak zachęcony przez młodzież nie opuszczał swej docentury i pracował dalej, ubolewając nad brakiem wszelkich aparatów, na które brakowało zwłaszcza dla docenta pieniędzy. To też częstokroć za swoje własne fundusze sprowadzał potrzebne do nauki książki, a co lato niejednokrotnie spotykano go jak z workiem w ręku powracał z pola niosąc potrzebne do doświadczeń żaby. Tymczasem praca w klinikach i nad książką zabierała mu coraz więcej czasu tak dalece, że kiedy na jakąś rocznicę śmierci Purkyniego, poprosili go studenci, musiał im odmówić. Nie zastano go wówczas nad książką, ale z igłą w ręku, którą łatał swoje podarte rękawy. W walce z nędzą i niedostatkiem zachorował bardzo. Symptomata strasznej choroby, która tylu ludzi pracy wydziera każdemu społeczeństwu, pojawiły się i wkrótce rozwinęły tak niebezpiecznie iż wreszcie śmierć położyła koniec tej długiej walki z przeciwnościami. Zmarł on w sile wieku, gdyż urodzony w 1839 roku dnia 22 kwietnia liczył zaledwie rok czterdziesty.

W teatrze niedawno spalonym w Pradze w którym roboty trwają ciągle i nieustanie, prowadzi niemi budowniczy pan Józef Zitek, ten sam który wykonał plany pierwotne. Urodzony w 1832 roku w Pradze, pomiędzy 1848 a 1851 r. na technice swe studya ukończył, w następnym roku udał się do Wiednia, pracował przeszło pół roku u architekta Krannera, zajmując się głównie planami kościołów, potem udał się w podróż i zwiedził Padwę, Ferrarę, Bolonię i Rzym, powróciwszy do Wiednia wykonał plany na budowę muzeum w Weimarze.

W 1864 roku zawezwany przez wybor ziemski w Czechach na profesora budownictwa w czeskiej politechnice, odtąd stale zamieszkuje Pragę.

Za plany teatru otrzymał pierwszą nagrodę, polecono też zająć mu się tą budową, która prawie ukończoną została. Teraz wedle dawnych planów, podnosi z gruzów ten budynek wielki w którym zaledwie same pozostały ściany i parę sal nie uszkodzonych pożarem. Teatr ma być ukończony w przyszłym roku zupełnie, a niezadługo zapewnie, komitet dramatyczny ogłosi konkurs na sztuki mające rozpocząć widowiska.

Stanęliśmy na granicy sztuki i poezyi, która tak świetnie rozwinęła się ostatniemi czasy w Czechach. Coraz to nowe prace wzbogacają tu piękną literaturę. Vrchlicki nieustannie pisze i wydaje, w tym roku ukazał się w powtórnem wydaniu, jeden z najlepszych jego poematów „Duch a svet”. Jest to coś nakształt „Legendy wieków” Wiktora Hugo, ale nie bez wpływu Krasińskiego, z tą jednak różnicą, że w „Nieboskiej komedyi” przedstawił Zygmunt tylko dwa światy, których wodzowie hr. Henryk i Pankracy w dwie przeciwne sobie zdążają strony, a czeski poeta w ostatnim oddziele zatytułowanym „Prablémy” pomieszcza wszystkie kierunki i wszystkie prądy, jakie dziś wrą w pośród całego społeczeństwa. Poemat to bardzo ciekawy i ważny, przytem misternie ułożony godny jest ze wszech miar przekładu. Krytyka czeska nie oceniła jeszcze dostatecznie tego utworu, ale jest on pomnikowem dziełem poety.

Równocześnie wyszły w trzeciem wydaniu „Kosmickie pieśni” Jana Sterudy. Jest to poeta bardzo lubiany w Czechach i podnoszony może nad zasługi. Jednakże stanowczo jako poetę równać go z Vrchlickim niepodobna.

Czesi przyznają mu przedewszystkiem swojskość i oryginalność, cenią jednak więcej jego prace prozą. Jako feiletonista jest niezrównanym, poezyi brak szerszego polotu.

Wprawdzie „Kosmickie pieśni” zostały uznane w Niemczech jako utwór piękny, a przedewszystkiem oryginalny. Przełożono je nawet i bardzo wiernie, ale pomimo tych panfletów muszę zaznaczyć że więcej znajdziemy tu obserwacyi niż twórczości. W całym szeregu pieśni, o ile sobie przypominam nie ma ani jednej, żeby w niej zabrakło nieba, ciemnej nocy i gwiazdek lub księżyca świe-

cącego. Po przeczytaniu którejkolwiek bądź widać, że mistrz nie tworzy lecz rzeźbi je wedle wzoru, być może wyidealizowanego we własnem pojęciu, ale zawsze ten wzór istnieje koniecznie.

Również też Swiatopluk Czech redaktor „Kwietów” nieustannie pisze. Twórczość jego znaczniejsza. Umie obmyślać wypadki o wiele lepiej. W epice niezrównany, jako nowelista najwyżej niezawodnie stoi w całym szeregu sił literackich czeskich, jako zaś poeta ulega więcej może jak Vrchlicki obcym wpływom a szczególniej Krasińskiemu i Garczyńskiemu.

W ostatnich czasach ogłosił nowy poemat „Slavia” w czasopiśmie „Kviety”.

Ażeby dokładniej określić talent Czecha musimy zaznaczyć, że celuje on więcej obserwacyą jak twórczością. Wreszcie zawikłana kombinacya myśli pokrywa resztę.

Pozostaje nam jeszcze słów parę poświęcić pani Elizie Krasnohorskiej. Donieśliśmy już poprzednio, że czeska poetka uskuteczniła przekład arcydzieła jednego z najgeńjalniejszych naszych poetów Mickiewicza „Pana Tadeusza”. Dziś z przyjemnością zaznaczyć nam wypada, że przekład ten będzie wprowadzony do szkół wyższych w Czechach i uprawniony na równi z epopeją klasyczną Hellady. Rzeczywiście dla wszystkich Słowian „Pan Tadeusz” ma bardzo ważne znaczenie i dlatego nietylko w czeskich powinien znaleść się kołach.

Dalej wspominałem również i o miesięczniku „Osvieta”, który tak starannie redagowany jest przez p. Vlczka. Pismo to od czasu do czasu zajmuje się także sprawozdaniami z polskiej literatury. Nie będziemy tu wyliczać już całego szeregu prac pomieszczanych o Kraszewskim i Zalewskim, które podczas swego istnienia zamieściło w swych szpaltach: nie będziemy też pokolei rozpatrywać się w ruchu umysłowym, o którym tak często mówi ten miesięcznik: powiemy tylko, że sam redaktor dramaturg i romansopisarz, potrafił nadać temu pismu formę bardzo popularną chociaż porusza najgłębsze i najważniejsze kwestye.

P. Vlczek jest człowiekiem z niezwykłym talentem, wystąpił jako twórca kilku bardzo pięknych dramatów z których „Lipany” osnuty na tle walki Hussyckiej został wybrany na uroczystość otwarcia teatru „narodowego”.

Teatr zniszczał, dzieło jednak poety zostało i żyć będzie jeżeli nie na scenie to w pamięci czeskich czytelników, jak nie zamarła pamięć chwili, w której Prokop Wielki bohater dramatu, poległ pod Lipanami. *W. Cz.*

Korespondencya Tygodnika.

Negadeh w Górnym Egipcie 14 paździer. 1882 r. (*)

Na dziś donoszę wam najdrożsi że jak dawniej i obecnie zdrowie dzięki Bogu służy mi dobrze, a co do tutejszych stosunków wszystko się uspokaja i do dawnego powraca toru i dlatego o mnie pod tym względem proszę zupełnie być spokojnymi.

Anglia zdaje się na dobre chce Egipt zabrać, żołnierze pod pozorem zwiedzania starożytności aż w nasze okolice przybywają dla pokazania swych czerwonych mundurów. Czyni to poniekąd dobry wpływ na fanatyzm muzułmanów. Niedawno temu przybył do Luksor książę Connangt syn królowej Wiktoryi wraz z licznem towarzystwem oficerów i żołnierzy.

Udałem się tam także i uczestniczyłem w obiedzie danym na cześć księcia.

Jako jedyny Europejczyk z tych stron byłem serdecznie przez całe towarzystwo witany i po wypiciu z agentem konsularnym Rossyi toastu za zdrowie księcia, wniosłem toast Anglii i wygłosiłem mowę licznemi oklaskami przyjętą, a książę zaintonował narodowy hymn angielski, który wszyscy przytomni po dwakroć odśpiewali.

Następnie wzniósłszy zdrowie rodziny królewskiej, przemówiłem zbliżywszy się do księcia mowę tyczącą się jego samego. Wzruszony serdecznie mi dziękował, a że tej samej nocy odjeżdżał, pożegnawszy więc całe towarzystwo, wsiadłem do mej łódki i powróciłem do domu. Widzicie więc, że jeżeli książę nie obawia się w te strony zapuszczać, to i mnie nie grozi niebezpieczeństwo.

Co zaś do mego tutejszego życia i zajęcia to po skończonych upałach zajmuję się znów pracą pismienną jako też i interesami, lecz te ostatnie jeszcze powoli idą, a to z powodu kilkomiesięcznego zastoju w handlu z przyczyny wojny.

Powoli jednak z powrotem Europejczyków do Aleksandryi i Kairu powróci wszystko do dawnego stanu.

10 listopada 1882 roku.

Dziś rano odebrałem twój list i choć jeszcze Muezin wieczornej modlitwy nie obwołał, pośpieszam z odpowiedzią donosząc ci, że ostatnie listy z domu ucieszyły i uspokoiły mnie zarazem, bo skoro wy wszyscy moi kochani dobrze się miewacie to i mnie zaraz weselej tutaj i dobry humor napada, tak że na podziw wszystkim mym sąsiadom, aż do północy palę świece, śpiewam, piszę, zapijam wino i strzelam z rewolweru.

List twój, moja droga, podoba mi się bardzo, iż się pytasz czy nie potrzebuję rękawiczek lub kołnierzyków? Na brodę proroka to doskonałe!

Czy ty wiesz, że tę parę rękawiczek coście mi do Tahta przed czteroma laty przysłały, dopiero w zeszłym miesiącu po raz pierwszy będąc na obiedzie u księcia Connangt, na me łapy wciągnąłem. Zyskałem przytem tyle, że choć rękawiczki koloru czekoladowego to były zawsze jaśniejsze od koloru mej skóry, co przy ściąganiu takowych wywołało liczne uwagi ze strony angielskich oficerów świty księcia.

Tyle co do rękawiczek. O kołnierzykach nie wspominam bo chcąc takowych tutaj używać, trzeba by ich mieć w zapasie trzy razy 365 co czyni 1095 sztuk rocznie.

Ponieważ tutaj jednak żaden z panów żurnali modnych nie prenumeruje, nikt więc nie wie, że ucywilizowani ludzie zwykli nosić koszule z kołnierzami. Dzięki tedy tej nieświadomości chodzę sobie bez obróży i z tem mi jest bardzo wygodnie. Wierz mi zresztą, że ubieranie się elegackie kosztowało by mnie tutaj bardzo drogo. W zeszłym tygodniu naprzykład, wysłałem kilka koszul do prania, na sposób europejski zgadnij dokąd? Oto aż do Sint 100 mil na północ od Negadeh.

Obliczywszy koszta podróży i praczkę, wychodzi mi koszula na 1 i pół reńskiego od prania. Prawda jak to tanio!

Ale cóż robić. Święta Bożego Narodzenia się zbliżają, a ponieważ na ten czas wyjeżdżam do Tahta, muszę więc jako korespondent trzech pism przyzwoicie być ubranym. Przytem będąc jedynym Europejczykiem, który bezżenny w tych stronach żyje, muszę zważywszy na damskie towarzystwo zbierające się na ówczas w Tahta, być ubranym à la mode. Inaczej bowiem miałbym od pewnej Francuzki, jednej Włoszki, dwóch Greczynek i trzech Niemek, tyle do zniesienia, że choćbym miał dwa razy więcej kieszeni co nieboszczyk Paganel, tobym z pewnością wszystkich ich przycinków i drwinek odjeżdżając ze sobą zabrać nie mógł.

Podróż tę do Tahta zamierzam odbyć mą małą łódką żaglową do której właśnie dorabiają kajutę. Za towarzysza będę miał Ojca Samuela. Ojciec Wincenty bowiem znajduje się obecnie we Francyi, dokąd dla poratowania zdrowia się udał. Wycieczka ta moja będzie przytem rodzajem polskiego kuligu na Nilu. Na przestrzeni bowiem od Negadeh do Tahta (80 mil) żyje 4-ch Europejczyków wszyscy moi dobrzy znajomi i przyjaciele, tak więc będę płynął od jednego do drugiego, odnawiając zapasy podróżne. Statek mój bowiem bardzo jest maleńki i nie mogę wszystkiego brać z sobą. Wycieczkę te odbywam głównie dla zmiany powietrza, nieco ruchu bowiem i rozrywki odświeży mój umysł i doda nieco sił do dalszej pracy. Tak więc od 15 grudnia do 6 stycznia robię sobie wakacye.

Mój Boże! tego roku nie będę mógł w towarzystwie polskiem zaśpiewać kolendy, jak to miało miejsce w zeszłym, gdy ks. A. Czartoryski przybywszy z Teb zabawił czas jakiś w Negadeh. Z jakąż przyjemnością wspominam te chwile, kiedy wówczas pod skwarnem niebem Afryki zebrało nas się pięciu Palaków a każdy z innej części kraju, ks. W. Jarmoliński z Litwy, książę z Galicyi, kapelan jego Poznańczyk, kamerdyner z Rusi a ja z Małopolski.

(*) Są to wyjątki z listów p. Stefana Marusieńskiego, pisane do Rodziny, poufnie bez zamiaru ich publikowania, że jednak niektóre szczegóły są w nich wielce interesujące, korzystając więc z pozwolenia chętnie je pomieszczamy w Tygodniku.

Redakcya.

Pogadanka.

Dziwnie się życie nasze splata! Łzy po śmiechu, śmiech po łzach, a często tak się z sobą mieszają, że ich oddzielić niepodobna. Wśród wesela zaskakuje nas żal i w pośród żałości znów radość przychodzi.

Pora obecna jest najweselszą. Święto po święcie, a karnawał ochoczy nie daje chwilki wytchnienia. Zabaw już dotąd naliczyliśmy nie mało, a reszty to już chyba i nie zliczymy, tak każdy radby się bawić a nikt nie chce stracić ani dnia jednego na próżno. W post dość będzie czasu na rozmyślania.

A jednak życie płynie jak zwykle i nieszczędzi smutków nawet w karnawale. Smutno policzyć, jak z dniem niemal każdym ubywa ludzi zasłużonych, jak wielcy a wytrwali pracownicy jeden po drugim opuszczają szeregi bratnie...

Do strat ostatnich należy zaliczyć śmierć wielce zasłużonego profesora instytutu agronomicznego w Marymoncie ś. p. Jastrzębowskiego. Nie piszemy na tem miejscu nekrologu, lecz poprzestajemy na słowach, że był to człowiek cichy i skromny, dla którego celem życia była praca dla pożytku ogółu. Jako profesor i człowiek był ceniony wysoce, a że w sercach swych uczniów zostawił niezatarte wspomnienia, więc też nie dziw, iż przy jego mogile złożono około dwóch tysięcy rubli na pomnik. Będzie to pamiątka miłości uczni dla nauczyciela, przykład dla następnych jak pracować dla młodzieży się powinno, aby sobie zaskarbić serca i wdzięczność.

Cześć pamięci zmarłego!

Nie brak też strat na innem polu. Oto w ostatnich czasach zgorzały w kraju aż dwie fabryki. Co za tem idzie, to strata czasu w produkcyi tych zakładów, a dobrze jeszcze gdyby każda fabryka, tak jak Żyrardowska mogła ani na chwilę nie pozbawiać swych robotników zajęcia. Jakże to bowiem często się zdarza, że wskutek pożaru setki ludzi traci wszelki zarobek, stanowiący jedyne ich utrzymanie, bez którego głód i nędza zaraz stają u proga. Dlatego to nigdy dość nie możemy się napowtarzać, że wśród ciężkich warunków, wśród jakich my żyjemy powinno się pamiętać o przezorności...

Przezorność nigdy nie zawadzi, nie zaszkodzi nikomu, a przy żywości temperamentu bardzo trzeba czuwać i uważać na wołania: ostrożnie z ogniem...

Wśród odgłosów muzyki tanecznej nie godzi się być głuchym na sprawy poważniejsze. A nie brak ich nigdy.

Pozwólcie, że przypomnimy raz jeszcze sprawę pomnika Mickiewicza. Komisya konkursowa rozpocznie znowu obrady nad projektami pomnika, my tymczasem gromadźmy grosz do grosza, aby go nie brakło w chwili, gdy projekt już zostanie przyjętym.

Otóż kiedy myślimy o wznoszeniu pomnika geniuszowi naszemu, nie godzi się zapominać o obowiązku opieki nad pomnikami naszej przeszłości. Każdy z niej szczątek powinien być szanowany, cóż dopiero gdy idzie o zachowanie wielkich gmachów, zamków starożytnych i t. p.

W jednem z pism naszych czytamy, że zamek w Chęcinach coraz większej ulega ruinie. Nie wiek go obala, lecz ludzie, zamiast więc opieki spotykamy wandalizm.

Mieszkańcy miasta zrzucają z góry kamienie i cegły i budują z nich sobie mieszkania. Miałożby dążenie do zaspokojenia dzisiejszych potrzeb dojść do tego stopnia iżbyśmy na ruinach przeszłości budowali rudery obecności. Wprawdzie jest to teorya życia.

Ileż to przez niebaczność starożytnych zamków rozsypało się w gruzy?! Toż samo pismo, z którego zaczerpnęliśmy powyższą wiadomość przypomina, że w ten sposób uległ zupełnemu zniszczeniu zamek biskupi w Bodzentynie. I wiele, wiele więcej podobnych wypadków naliczylibyśmy. To też z wielką radością witaliśmy zabiegi jednostek i komitetów w Galicyi dążących do uratowania tych pięknych lat dawnych zabytków.

Ma ich ziemia nasza niemało! Wesołe one i smutne na pamięć przywodzą wspomnienia, lecz sam fakt, że są wspomnieniami przeszłości wystarcza, aby je szanowano...

Idźmy dalej.

Oto np. nie możemy przemilczeć o wyprawie naszego ziomka pana Szolc-Rogozińskiego. Pisano o niej u nas długo i wiele, a w ostatnich czasach jakoś zamilkły głosy i tylko kiedy niekiedy odezwał się ktoś z powątpiewaniem, czy też wyprawa przyjdzie do skutku.

Były to odzywania się niecierpliwych, którzy nie chcieli, czy nie mogli zrozumieć, że wyprawa do Afryki, to nie podróż pospiesznym pociągiem do Berlina lub Wiednia. A inni jakoś zwątpili w młodego inicyatora wytrwałość. A tymczasem młody podróżnik dokazał swego. Walczył z przeszkodami bardzo wielkiemi bo z brakiem pieniędzy na wyprawę. W dzisiejszych czasach dla przedsiębiorących wyprawy jest to wróg równie groźny jak brak wody w gorącej Afryce.

Wreszcie pokonano wszystko i rozwinięto żagle. Podróżnikom ślemy szczere życzenia pomyślności. Będzie to jedna z nielicznych wypraw, których celem nie zdobycie bogactw, nie chęć zysków choćby z najcięższemi ofiarami dla mieszkańców odkrytych krajów połączona, lecz chęć wzbogacenia wiedzy, pragnienie przysłużenia się tejże dobrze i uczciwie.

Pole odkryć krain nieznanych leżało u nas odłogiem. Daliśmy światu wielkiego Kopernika lecz nie mieliśmy Kolumba. Miałżeby młody podróżnik pozazdrościć temu ostatniemu sławy? W imię każdego szlachetnego celu idźmy naprzód!

Dzienniki doniosły, że we Lwowie zawiązało się stowarzyszenie literatów pod godłem: „Jedność". zwrócono uwagę na to, że celem stowarzyszenia jest pomoc materyalna, której dotąd brakło.

Prawda, że brak materyalny jest wielce w życiu każdego człowieka dotkliwym i nieraz staje zaporą w dążnościach bardzo nawet pożytecznych i szlachetnych.

Pod tym więc względem każde stowarzyszenie musi być pożytecznem i witać je należy z radością. Są wszakże inne jeszcze cele. Życie materyalne nie stanowi wszystkiego, bogactwo nie ochroni od upadku, pozbycia się troski o chleb codzienny nie zabezpiecza od trosk innych, a niezawodnie ważniejszych.

I oto właśnie mamy nadzieję, że „Jedność" lwowska rozwijając się pomyślnie wyda owoce wartości moralnej.

Koło literackie we Lwowie, które w tym względzie mogło było nie mało działać dobrego, spało najspokojniej i dziś jeszcze śpi. W gronie jego zasiada najwięcej nieliteratów, a tem samem charakter literacki jego zupełnie się zaciera. Najlepszy tego dowód, że obecnie obrano prezesem księcia Czartoryskiego. A przecież Lwów posiada wielu bardzo znakomitych literatów, grupujących się około uniwersytetu i biblioteki Ossolińskich...

Niechże więc dopełni „Jedność" tego, czego koło literackie nie zrobiło.

Święta minęły spokojnie i cieszono się tem i zatarto poniekąd smutne zeszłoroczne wspomnienia.

W ostatnich czasach przykre wrażenie wywarła przemówka Matejki o żydach i proces, który był jej następstwem. Wstyd nam się było przyznać, że tak wielki artysta i tak wielki błąd popełnił. Z jakąż przyjemnością notujemy, że obecnie chcąc dać dowód prawdziwej bezstronności ofiarował jedno z dwóch stypendyów żydowi. Lepiej nie mógł zamanifestować owych przekonań, które w gruncie są czyste, a tylko źli doradzcy je zamącili.

Intolerancya do niczego nie doprowadzi, tylko sąd bezstronny, a oparty na gruntownem zbadaniu stanu rzeczy może wydać rezultat dodatni.

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Lirnik polski zbiór poezyi ułożony przez Wandę Żeleńską, stanowiący spory tom Biblioteki illustrowanej dla młodzieży wydanej przez firmę Hösika, przyozdobiony rysunkami Gersona, złożony jest blizko z dwiestu utworów poetyckich naszych najcelniejszych poetów począwszy od Reja z Nagłowic a w pośród których znajdujemy aż 30 utworów wyszłych z pod pióra: Żmichowskiej (10), Ilnickiej (6), Kaplińskiej (1), Deotymy (4), Bezimiennej (1), Konopnickiej (5), Jaskółki (3). W zbiorze tym, będącym niejako antologią poetów polskich, przeznaczoną dla młodocianego wieku, dobór utworów jest bardzo trafny i sumienny, aczkolwiek nie zgodzilibyśmy się na nadmierną ilość pomieszczonych utworów Żmichowskiej, w porównaniu z innymi poetami, z których tylko Asnyk i Mickiewicz z większym doborem poezyi są tu przedstawieni. W miejsce 10 utworów Żmichowskiej, 6 Ilnickiej a 5 Konopnickiej, wolelibyśmy w zbiorze tym widzieć więcej przykładów z innych poetów, których pani Żeleńska zupełnie pominęła. Czyżby niegodni byli figurować choćby jednym tylko utworem obok Żmichowskiej, Ilnickiej, Jaskółki i t. d.?

Historya powszechna w obrazach. Życiorysy, charaktery, podania i fakty historyczne, czasy przedchrześciańskie według Grubego z dodaniem historyi Słowiańszczyzny opracowała Z. Zajączkowska.

Słusznie powiada p. Z. Zajączkowska w przedmowie swej do powyższego dzieła poświęconego dzieciom, że *historya narodów* i *dzieci* to dwa najzupełniej sprzeczne z sobą pojęcia i że żaden z przedmiotów nie przedstawia tyle trudności dla uczni i nauczycieli, jak historya powszechna. Podręczników jest niemało, lecz te są dla starszej młodzieży, a brak ich całkiem dla początkujących. Brak ten od dawna już odczuwany, wypełnić chcieli najznakomitsi pedagogowie, lecz prace ich nie odpowiedziały wymaganiom początkowej nauki. Znany pedagog A. W. Grube pojąwszy i zrozumiawszy, że początkującym nie należy dawać całkowitego programatycznego kursu historyi, złożonego z samych suchych faktów, dat, nazwisk i t. d. lecz dzieje narodów przedstawić tak, aby dziecko poznało i zapamiętało wybitniejsze tylko postacie i fakty, które rzeczywiście wpływ miały na losy narodów, przystąpił do wydania dzieła: *Charakterbilder aus der geschichte und Tage*. Idąc za przykładem znakomitego pedagoga p. Z. przyswoiwszy w części pracę jego daje nam dziś *Historyą powszechną w obrazach*, do której dołączyła i historyą Słowiańszczyzny pominiętą przez A. W. Grubego. Pierwszy tom leżący przed nami obejmuje *czasy przedchrześciańskie* z pominięciem historyi, biblijnej ze względów, że takowa może być tylko wykładana krótko z poglądem naukowym, albo też obszernie jako wchodząca w zakres nauki religii.

Dziecko wcześnie już obznajamiane z dziejami narodów, żywa się z bohaterami dziejów i wtedy nauka dziejów, spełnia swe zadanie, mianowicie rozwija i umacnia umysł, wskazuje obowiązki względem religii, współbraci i ziemi ojczystej, oraz wykazuje wszechmoc i nieskończoną mądrość Tego, który kieruje losami ludzkości.

Historya powszechna p. Z. odznacza się nadzwyczaj przystępnym i barwnym wykładem, przyczem wszelkie zbytecznie umysł obciążające daty

starannie są unikane. Za to znajdujemy tu wiele podań i tradycyi skreślonych lekko i zajmująco. Początkowe dzieje pierwszych ludzi, rozejście się ich po świecie, najpierwsze wynalazki, jak ognia, kucia żelaza, żeglugi, muzyki, opisane są bardzo ponętnie i odpowiednio do umysłu młodych uczni. Podobnież autorka nakreśliła dzieje Indyi, Chin, Egipcyan, Assyryjczyków, Fenicyan, Greków, Persów, Rzymian aż do Juljana Apostaty i Słowian. Dzieje tych narodów przedstawione są w obrazach stanowiących barwny i wielce zajmujący historyoskop, a ustęp prawie każdy odznacza się tendencyą zaciekawienia uczącej się młodzieży i wpojenia w nią podniosłych i szlachetnych myśli. Co do dodanych początkowych dziejów Słowiańszczyzny, to znajdujemy różne różności, które niepodobna nam pokryć milczeniem. I tak pomijając wywody Słowian ułożone podług Herodota, Ptolomeusza i t. d. zapytać się musimy zkąd p. Z. wzięła jakieś: *Wodniki*, *Leśniki* dalej *płacznice* (str. 342), którym to mianem nowo odkrytym przez p. Z. nazywa powszechnie w dziejach świata, w archeologii i t. d. znane *Łzawnice*. Dalej niech nam wolno będzie zapytać się p. Z. w jakiej to kronice lub dziejach wyczytała o *Welindzie* (str. 344) siostrze Lecha, Czecha i Rusa jakoby mieszkańców lasu *Strachiniju* w Karyntyi? Czyż utwory tak potężnie fantastyczne, tak z prawdą nic wspólnego nie mające i w żadnym z naszych kronikarzy nie znajdujące się należało podawać? Wszak same podanie o Lechu, Czechu i Rusu jest już tylko piękną... bajką, a cóż dopiero o jakiejś przez nikogo nieznanej *Welindzie* i jej przygodach.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Jescze w bieżącym miesiącu otwartą ma być Szkoła rzemiosł dla kobiet, przez hr. Cecylię Zyberg — Plater, w domu jej przy ulicy Pańskiej, którego celem zapewnienie dziewczętom samoistnego bytu przez wyuczenie jakiegoś rzemiosła, wraz z niezbędnym dla kobiet praktycznem intelektualnem wykształceniem. Wykłady tak przedmiotów przygotowawczych jako też i rzemiosł, stanowić będą trzy kursa pojedyńcze. Na pierwszym kursie, w godzinach porannych, uczenice uczyć się będą zwyczajnego szycia, łatania, cerowania, znaczenia krzyżykami, roboty pończoch na drutach, początków rysunków, kaligrafii, rachunków pamięciowych i czterech działań arytmetycznych, zaś w godzinach popołudniowych, obranego przez siebie rzemiosła. Na drugim kursie uczenicom udzielana będzie w godzinach rannych, nauka szycia, trudniejszego cerowania, znaczenia haftem, rozmaitych robót drutowych oraz rysunku geometrycznego, pisowni i arytmetyki, od liczb wielorakich do ułamków, w poobiednich godzinach, zarówno jak na kursie pierwszym, obranego rzemiosła. Kurs trzeci, ostatni zakończy wykłady nauką szycia, najtrudniejszego cerowania z naśladowaniem deseni tkaniny, naprawy tiulów i koronek, ozdobnego znaczenia atłaskiem, haftu angielskiego, wyrobów na drutach i najrozmaitszych robót szydełkowych. Z nauk przygotowawczych udzielane będą: rysunek według wzorów wypukłych i ozdób architektonicznych z gipsu lub z natury, styl stosowany do korrespondencyi handlowej, reguła trzech i nauka o procentach. W godzinach poobiednich, obrane rzemiesła. Wszystkie pensyonarki zakładu, od 14 roku życia, kolejno, po dwie na miesiąc obowiązane będą uczyć się kucharstwa, zapisywania rachunków gospodarskich, kupowania artykułów żywności i t. p. a następnie zmieniać się tygodniowo dla nauki prania, suszenia i prasowania bielizny. Tak na pensyonarki jak i na przychodnie, przyjmowane będą dziewczęta mające przynajmniej 11 lat skończonych. Przy otwarciu zakładu wykładane będą: szycie i krój bielizny, sukien i okryć, szewctwo damskie, nauka koronek i malowania na porcelanie, drzewie i materyi; zaś buchalterya, pończosznictwo i inne wyroby, wprowadzone zostaną jak tylko zapisze się na któreś 12 uczenic.

Pensyonarki za całoroczne utrzymanie i naukę opłacać mają w ratach kwartalnych łącznie 175 rs; przychodnie miesięcznie po rs. 3. Za złożeniem wiarogrdnych świadectw ubóstwa, biedne dziewczęta przychodnie przyjmowane będą na naukę bezpłatnie, nie więcej jednak jak w stosunku ¼ części odnośnie do ogólnej liczby. Kierownictwo zakładu obejmuje hr. Zyberg — Plater. Podaliśmy obszerniejsze szczegóły o tym pożądanym zakładzie, dla dogodności Czytelniczek, pomiędzy któremi znajdą się może pragnące z niego korzystać.

*** Poseł Teofil Merunowicz, podniósł myśl założenia we Lwowie stowarzyszenia dziennikarzy, na wzór podobnych związków istniejących od dawna we wszystkich niemal krajach europejskich, otóż donoszą ze Lwowa że dobra ta myśl nie daleką jest może urzeczywistnienia. Zamierzone stowarzyszenie nosić ma nazwę „Jedność," a według słów projektu statutu, celem jego, ma być obrona wspólnych interesów stanu dziennikarskiego, oraz udzielanie sobie wzajemnej pomocy koleżeńskiej w razie jej potrzeby, a na wypadek śmierci, udzielanie pomocy wdowom i sierotom. Zaprowadzeniem tak pięknego stowarzyszenia, Lwów zawstydzi Warszawę.

*** Księgarnia M. Altenberga we Lwowie, wydała na tegoroczną kolendę *Siedm bajeczek J. I. Kraszewskiego*, mające stanowić w piśmiennictwie naszem początek uprawiania literatury gwiazdkowej przez wsławionych na innem polu pisarzy. Ideałem podobnej pracy jest pogodzenie trzech żywiołów, rzadko zjednoczonych w jednem piórze: zdrowej myśli społecznej, świetnej fantazyi artystycznej, dostępności dla młodocianych umysłów. Wielkie te trzy zalety podały sobie dłoń bratnią w *Bajeczkach* czcigodnego jubilata. Wprowadzony do nich żywioł klechdy ludowej harmonizuje doskonale z założeniem; tak właśnie kształtować się powinien surowy materyał twórczości ludowej, jakby złoty kruszec pod ręką prawdziwego złotnika. Do książeczki tej dodano sześć rysunków Andriolli'ego.

*** Co też to dzieje się w tej Szwajcaryi!!! Czy to rzecz do uwierzenia! Kantor Fryburski ustanowił od N. Roku podatek od tańca, nawet w ściśle prywatnych kołach towarzyskich. Od zabawy tańcującej, trwającej niedłużej jak do 11-tej wieczorem, 25 fr. zaś od trwających dłużej 33 fr. za każdym razem. Może jednak nie darmo mówią „że nie ma złego coby na dobre nie wyszło" gdyż w chęci uniknienia większego podatku bez skrócenia godzin zabawy, zaproszeni będą wcześnie schodzić się na zabawy.

*** Od lat już kilkunastu istnieje w Londynie kolosalnych rozmiarów Czytelnia, pod n. „circulating library." W r. 1864 zawiązało się towarzystwo z kapitałem wkładowym 100,000 funt. szterl. z zamiarem założenia ogromnej czytelni. Przedsiębiorca, Karol Mudie, dał połowę tej sumy, drugą złożyli wspólnicy. Ośmdziesięciu ludzi znajduje zajęcie w tej czytelni. Książki rozchodzą się nader szybko po Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Gdy wyszła z druku „Makaulay'a History of England" zaledwie wystarczyło żądaniom publiczności, 2,400 egz. tego dzieła. Podróży po Afryce Liwingston'a, jest w Czytelni 2,000 egz. Tennysson'a , Enach Arden" 2500. „Lothaira" Disraelego zakupiono 1500 egz. musiano jednak podwoić tę liczbę, jako nieodpowiadającą żądaniom. „Edinburg reviev" i „Zuarterly reviev" znajduje się zawsze w 6,000 egz. „Revue des deux mondes" 100. Po pewnym przeciągu czasu stare książki wyprzedają, sprowadzając w ich miejsce nowe. Niedawno Czytelnia wydała katalog książek, które sprzedaje z rabatem bo do 70% i zawsze chętnych znajduje nabywców.

*** Zrujnowany i na wpół spalony podczas komuny pałac Tuillerie, drogą publicznej licytacyi sprzedany został przedsiębiorcom, Lapeyre i Picard, za 35,000 fr. dla zrównania go z ziemią i uprzątnięcia gruzów.

Ciekawe szczegóły o Tuillerie, podaje „Neue presse."

Ileż to wspomnień historycznych przywiązanych było do tych gruzów, ileż to razy, nie sama tylko Francya ale świat cały zwracał oczy na ów pałac, z którego Napoleon I narzucał prawa Europie, i jakikolwiek obrót brały losy, patrzono na niego jak na złowróżbną, błyszczącą w ciemności gwiazdę. Dziś był to już stos poczerniłych od ognia kamieni; lecz dla oka pamięci, każdy odłamek misterną rzeźbą zdobnych kamieni drgał jeszcze życiem, a wspaniałe zgliszcza opromieniała aureola dawnego blasku i przepychu. A jednak pałac ten nikomu z mieszkańców jego nie przyniósł trwałego szczęścia; nad każdym wisiała jakaś klątwa, wśród blasku świateł i dźwięków muzyki, wśród świetnych zabaw i uroczystości, czatowało gdzieś w ukryciu nieubłagane fatum. Jeden tylko Ludwik XVIII w ciągu trzech wieków umarł spokojnie w Tuillerie, i ciało jego wystawione było w sali tronowej, z berłem w dłoni. Od dnia w którym tłumy narodu z dzikim wrzaskiem przeprowadziły Ludwika XVI z Wersalu do Paryża, gmach ten stawał się dla monarchów francuzkich jakby więzieniem z którego wychodzi się na śmierć lub wygnanie. Długo wywierali wpływ potężny, kłaniali się im królowie i książęta, lecz gdy tylko zabłysło słońce wolności, gorące jego promienie przez okna, drzwi i niemal szczeliny wdzierały się do pałacu — i potęga runęła.

Pierwszą myśl zbudowania pałacu tego powzięła katarzyna de Medicis, wdowa po Henryku II, polecając Filibertowi Delorme urządzenie dla niej rezydencyi po za obrębem murów stolicy, w miejscu gdzie osiedleni byli głównie garncarze i wypalający cegłę (tuilerie, cegielnia). Pałac wznosił się coraz wyżej, lecz brak funduszu zniewolił do zaprzestania robót i przerwa ta długo trwała. Dopiero Henryk IV kazał dalej prowadzić budowę, tak dla dania zarobku klasie roboczej, jakoteż ze względów politycznych; łącząc krytem przejściem Louvre stojący wśród miasta, z pałacem tiuileryjskim, położonym wówczas po za murami Paryża, zapewniał królestwu drogę odwrotu. Wszak to przez ogród tiuleryjski uciekał na zawsze z Paryża Henryk III; tędy wszedł do miasta Bearneń-

czyk i tu też chciał w razie konieczności zapewnić sobie odwrót.

Za Ludwika XIV bardzo gorliwie zajmowano się wykończaniem pałacu, a tuż obok kaplicy Vigarini wystawił teatr, na scenie którego przedstawiono jedną tylko sztukę, po czem długo stał pustką. Za Ludwika XV wznowiono tu przedstawianie baletów, w których i młodziutki król przyjmował udział. Wzrost Wersalu i obranie go sobie za rezydencyę przez Ludwika XV na długie lata usunęły Tiullerie na drugi plan. Dopiero przy końcu panowania, monarcha ten przeniósł się na kilka lat do tego pałacu, a niezadługo monarsza rezydencya przeznaczona została na inny cel. Tu pomieściły się: Akademia francuzka, *Teatr francuzki*, i sala koncertowa. Tak było do roku 1789, w którym d. 6 października skutkiem przymusowego powrotu Ludwika XVI znów polityka osiedliła się w pałacu. Przez niespełna dwa lata, monarcha ten sześć razy opuszczał pałac, ostatni raz chcąc ratować się ucieczką. Sprowadzono napowrót nieszczęśliwego zbiega; lud wdarł się do pałacu, na głowę jego włożył czerwoną czapkę; d. 10 sierpnia runął tron królewski, a pałac stał się widownią okropnych scen, następnie niejednokrotnie jeszcze się powtarzających.

Niezadługo konwencya rozwielmożniła się w pałacu. W ogrodzie sadzono drzewa wolności. Robespierre zapanował wszechwładnie. Na placu Karuzeli wzniesiono pomnik Maratowi.

Nadszedł czas dyrektoryatu, pierwszy konsul zajął dawną rezydencyę królewską, na początku bieżącego wieku. Pałac zawrzał znowu weselem i życiem, nastąpił szereg świetnych zabaw i uroczystości. Mury Tuillerie powitały pierwszego cesarza Francuzów; gościł w nich papież, książęta niemieccy kornie schylali czoła przed genialnym parweniuszem — salony zajaśniały przepychem. Tu odbywały się małżeństwa braci cesarskich, tu Napoleon I trzęsący wówczas Europą, rozwiódłszy się z Józefiną, poślubił Maryę Ludwikę, tu urodził się „król rzymski". Odtąd najsprzeczniejsze sceny zmieniają się nagle jak w kalejdoskopie. Cesarz idzie na wygnanie; przybywa hrabia d'Artois a za nim Ludwik XVIII ale uciekają niebawem przed pojawiającym się wśród radośnych okrzyków cesarzem... Następuje Waterloo, po niem wracają Burboni i ucztują w galeryi Dyanny — kosztem Francyi. Tron po trzykroć wznoszony w sali tronowej — po trzykroć upada...

Następnie kto tylko zamieszkał w Tuillerie jako monarcha Karol czy Ludwik Filip lub Ludwik Napoleon, opuszcza go jako zbieg i tułacz, kto w nich ujrzał światło dzienne, król rzymski, hrabia Paryża czy książe Lulu, przychodzi na świat z piętnem klątwy czy nieszczęścia na czole. Podczas Restauracyi, przyniesiono tu księżnej Berry, ugodzonego śmiertelnym ciosem męża jej, następcę tronu, a z dawniejszych wspomnieć należy Henryka II męża Katarzyny de Medicis, który zginął podczas turnieju. Tu także mieszkał syn Ludwika Filipa, następca tronu książe Orleański, który zabił się wyskakując z powozu w którym konie się zbiegały.

I obecnie pałac ten, przedstawiciel tylu historycznych wspomnień, zniszczony przez komunę zginie bez śladu owych niezliczonych milionów jakie kosztował. Jaka była ich liczba — nikt dziś wykazać nie jest w stanie, bo tak Katarzyna jak Napoleon III nie wyjawiali jakie summy na niego wydawali. Wiadomo tylko iż urządzenie *des petits apartements* cesarzowej Eugenii, to jest trzech saloników różowego, niebieskiego i zielonego — kosztowało pięć milionów franków.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie strojne wizytowe. Odrobione z kolorowego wełnianego materyału voile réligieuse, przybrane haftowanym szlakiem szeroką walensjenką i kokardami aksamitnemi, w zwierzchnie połowy rękawów koronkowych wszyte kliny aksamitne, u dołu sukni falbaneczka aksamitna.

Ubranie i okrycie balowe. Suknia fijołkowa z brokateli i aksamitu z wielkim trenem, do wejścia na bal przysłonięta białem okryciem, bogato haftowanem złotem i perełkami, zakończonem frendzlą sznelową.

Ubranie balowe. Suknia z materyi złotego koloru ma u dołu dwie falbany drobniutko plisowane z żółtego tiulu, przedzielone sutą riuszą jedwabną. Suta bufowana draperya ułożona z materyi i tiulu. Na staniku z bawetem berta z koronki hiszpańskiej.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Декабря 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 2, r. 1883.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM PIERWSZY.

(Dalszy ciąg.)

Gdy doszła do tego wniosku, podniosła głowę, a twarz jej przybrała wyraz który zadziwiłby wszystkich znajomych, przywykłych do słodyczy spojrzenia i wesołego jej uśmiechu. Złożyła ręce i szepnęła wznosząc oczy ku niebu: „O mój Boże! czyż to rzeczywiście zgadza się z Twoją wolą?"

W tymże samym czasie, Raynold i pan Malsaigne wracali do domu, wypaliwszy cygara w zupełnem prawie milczeniu. Malsaigne był zwykle małomówiący, więc i teraz nie było w tem nic dziwnego, ale Raynold mówiący zawsze wiele i chętnie gdy znajdował się sam z przyjacielem, był teraz zamyślony i niespokojny.

— Co to jest? zapytał nagle Malsaigne. Patrz... tam przy końcu tarasu... Możnaby sądzić że to jakieś widmo.

— To Eliana, rzekł Raynold, ale rzeczywiście, patrząc na nią ztąd, gdy stoi tam nieruchoma z tą białą zasłoną na głowie, wydaje się jakby jakieś nadziemskie zjawisko.

Postąpili jeszcze kilka kroków, i mogli już wyraźnie widzieć twarz Eliany, gdy tymczasem ona nie domyślała się nawet ich obecności.

— Nie wiem czy rozmyśla czy się modli, szepnął Malsaigne, ale jest zachwycającą w tej postawie. Nie przeszkadzajmy jej.

Raynold skinął twierdząco głową. Zawrócili się i inną ulicą doszli do domu.

— Czy nie domyślasz się, zapytał Malsaigne gdy już odeszli, czemu to co powiedziałem o Monleon'ie zmięszało ją tak widocznie?

— Nie.

— Musi go znać?

— Nie.

— Jesteś tego pewnym?

— Tak, nie zna nikogo w Paryżu, prócz osób bywających u mej matki.

— Może on był w Anglii?

— Nie, z pewnością nie, odpowiedział żywo Raynold. To rzecz nieprawdopodobna, niemożliwa.

— Wydaje ci się to czemś nieprawdopodobnem aby pan de Monleon, którego wcale nie znamy, był w Anglii? rzekł spokojnie pan de Malsaigne. I dla czegoż to?

— Dlaczego? Niecierpliwisz mnie Armandzie! Nie umiem na to odpowiedzieć, ale jestem pewnym że tak jest.

— W takim razie to jej wzruszenie byłoby jeszcze niezrozumialszem dla mnie.

— Przyznaję to, ale jutro dowiem się co je wywołało.

— Jakim sposobem?

— Zapytam jej o to.

Po tych słowach przyjaciele pożegnali się uściśnieniem ręki, i każden z nich poszedł w inną stronę, a wkrótce potem Eliana, nie domyślająca się nawet jakich przypuszczeń stała się powodem jej nieumiejętność ukrywania doznanych wrażeń, weszła do swego gabinetu i zamknęła okno.

Przyniesiono już lampę, usiadła więc przy stoliku i wzięła książkę, ale pomimo najszczerszej chęci nie mogła czytać uważnie, była roztargniona i niespokojna, a ile razy zadawała sobie pytanie co z tego spotkania wyniknie dla Bianki, przypominały jej się słowa pana de Malsaigne: „Tęgi chłopak, z czarną brodą i rumianą twarzą." Zdawało jej się że człowiek z taką powierzchownością nie mógłby jej się podobać.

— Biedna Bianka! pomyślała; mam jednak nadzieję że miałaby odwagę powiedzieć nie, gdyby jej się bardzo nie podobał... Gdybym była na jej miejscu, to potem co dziś o nim mówiono, nie poszłabym wcale na ten wieczór. Jakże to wszystko wydaje mi się dziwnem!...

Chcąc uwolnić się od tych myśli, zamknęła książkę i siadła do fortepianu. Grała pięknie, miała głos dźwięczny i miły, i śpiewała prześlicznie piosenki, ballady, pieśni religijne, słowem wszystko co wymaga więcej czucia niż sztuki. Najprzód nuciła tylko, a potem śpiewała jedno po drugiem wszystko co umiała na pamięć, i wtenczas dopiero spostrzegła się że już późno, gdy zegar wiszący na ścianie nad jej głową wybił jedenastą.

Wstała od fortepianu, a w tejże chwili Bianka otworzyła drzwi i weszła do gabinetu. Eliana pobiegła natychmiast do niej i zdjęła z niej lekkie białe okrycie.

— I cóż, moja droga Bianko, jakąż wiadomość mi przynosisz? Powiedz mi wszystko.

— Mogę powiedzieć ci tylko, odpowiedziała Bianka poważnie ale zupełnie spokojnie, iż zdaje się pewnem, że wkrótce zostanę panią de Monléon.

— A cóż więcej mogłabyś mi powiedzieć! Ale jakże to mogło być postanowionem tak nagle, wciągu jednego wieczora?

— O! nie ma jeszcze stanowczego zobowiązania, ale można to już uważać za rzecz pewną.

— I jesteś z tego zadowoloną?

— Tak, bez wątpienia. Byłoby mi nawet przykro gdyby ten zamiar spełzł na niczem.

Eliana nie mogła zrozumieć kuzynki, nie wiedziała co mówić, jednak po chwili milczenia odezwała się znowu.

— Nie potrzebuję zapewniać cię, Bianko, że cię kocham, i że to co mówisz ucieszyłoby mnie niewymownie. gdybym mogła być pewną że w istocie widzisz w tem swe szczęście.

— A więc mogę ci nawet przysiądz na to, Eliano, że tak jest rzeczywiście.

— Cóż w takim razie znaczy ten wyraz powagi, którego nigdy dawniej nie widziałam na twojej twarzy?

Bianka roześmiała się głośno i twarzyczkę jej ożywił wyraz prawdziwie dziecęcej wesołości, ale po chwili stała się znów poważną i myślącą.

— Nie przeczę iż to może wydawać ci się czemś nadzwyczajnem, że mnie widzisz poważniejszą jak zwykle, ale musisz przyznać że mam do tego słuszne powody. Wszakże wkrótce los mój ulegnie zupełnej zmianie, rozpocznę całkiem nowe życie, będę mieć mnóstwo ważnych obowiązków do spełnienia; obowiązków tak wielkich, że będąc jak ja tak młodą i trochę jeszcze dziecinną, możnaby się lękać czy to nie będzie zbyt wielki ciężar na tak słabe siły, gdyby nie głęboka ufność w miłosierdziu Bożem. Ale ja wiem że Bóg mi dopomoże, dodała zwracając śliczne oczy na wiszący na ścianie krucyfix z kości słoniowej, ponieważ pragnę gorąco być zawsze kobietą dobrą, cnotliwą i prawdziwą chrześcianką.

— O! tak, moja ukochana Bianko, rzekła Eliana ze łzami w oczach, będziesz z pewnością szczęśliwą gdyż jesteś dobrą jak anioł.

Wistocie, Bianka ukazała jej się w tej chwili w zupełnie nowem świetle, wiedziała że jest pobożną, widziała ją nieraz modlącą się gorąco, ale była zwykle tak wesołą, prawie pustą, że nie sądziła aby w jej główce mogła powstać jakaś myśl poważniejsza; zresztą to co mówiła z nią rano o tem spotkaniu niby przypadkowem, a rzeczywiście ułożonem już dawno, tak ją zadziwiło a nawet oburzyło, iż zdawało jej się że jakiś chłodny powiew wiatru ostudził nieco jej przywiązanie dla Bianki. Teraz jakkolwiek nie rozumiała jej lepiej, kochała ją równie jak dawniej a ceniła więcej.

— Czy go tam już zastałaś Bianko? zapytała znowu.

— Tak, był na obiedzie u pani de Crécy wraz z wielu jeszcze innemi osobami, ale mama powiedziała mi że poznam go łatwo, gdyż prócz niego będą tam tylko osoby które znam dawno. Tak też było rzeczywiście. Gdy weszłyśmy do salonu rozmawiał z panem de Kerdrey i spostrzegłam go tam natychmiast, ale nie śmiałam patrzeć w tę stronę to tylko widziałam że gdy służący nas anonsował, prędko zwrócił ku nam głowę. W parę minut później zbliżył się do pani de Crécy, która przedstawiła go mamie, zamienili z sobą kilka słów. a ja przez ten czas mogłam przypatrzyć mu się dobrze.

— A cóż mi powiesz o jego powierzchności? zapytała Eliana.

— Ma brodę i włosy czarne, jest wysoki i nie szczupły, twarz jego może zbyt rumiana, wolałabym trochę bledszą; ale jest bardzo przystojny.

— Tym lepiej, odpowiedziała Eliana, choć nie zdawało jej się aby ktoś z podobną powierzchownością mógł być rzeczywiście przystojnym.

— On przyglądał mi się także, mówiła dalej Bianka, a później, gdy mama rozmawiała z panią de Crécy, zbliżył się do stolika przy którym siedziałam z paru jeszcze osobami, przeglądając album w którym znajdowały się fotografie różnych znakomitych osób. „To pan Thiers," rzekł wskazując mi jedną z nich. Odpowiedziałam mu trochę zmieszana, że wcale nie ładny. Ma pani słuszność, ale tu znów jest pan Miguet, który jest bardzo piękny. O! tak odpowiedziałam nie śmiejąc spojrzeć na niego, nie uszło jednak mojej uwagi że ma bardzo miły dźwięk głosu. Potem zbliżyłam się do mamy, która już wstała chcąc pożegnać panią de Crécy. Stał przy drzwiach gdy wychodziłyśmy z salonu, mama podała mu rękę, my zaś ukłoniliśmy się sobie, i to już wszystko. Ale mama powiedziała mi gdy wracałyśmy do do domu, że pan de Monléon zapewnił baronową de Crécy, że potem co słyszał o mnie i całej mojej rodzinie, oświadczy się o mnie z pewnością, jeżli tylko nie wydam mu się bardzo brzydką i niemiłą.

Bianka uśmiechnęła się mówiąc te słowa, które wywołały także uśmiech na ustach Eliany.

— Sądzę, rzekła, że pod tym względem musiał być zupełnie zadowolnionym.

— I mnie się tak zdaje. Przynajmniej pani de Crécy mówiła, że wnosząc z wyrazu jego oczu gdy patrzył na mnie, nie wątpi o tem wcale, i że może prawie zaręczyć że jutro przed południem przyjedzie tu, prosić mamę w jego imieniu, o moją rękę. Widzisz więc że to zdaje się już zupełnie pewnem.

Eliana pomimo najszczerszej chęci nie mogła stłumić jakiegoś przykrego uczucia, i znajdowała się w kłopotliwem położeniu; nie należało użalać się nad kuzynką, skoro ta była zadowolnioną, a nie umiała jej powinszować.

— Ale powiedże mi kiedy poznacie się lepiej?

— O! później, odpowiedziała spokojnie Bianka.

— Później?... Już po ślubie?

— Nie, przed ślubem, ale kiedy już wszystko będzie stanowczo ułożonem. Zejdzie przynajmniej dwa miesiące zanim wyprawa moja zostanie skończoną, a przez ten czas możemy poznać się dobrze. Będzie bywał u nas co dzień, a co rano przyśle mi bukiet.

— A jeźli też on ci się nie podoba gdy poznasz go lepiej.

— O! to jest nieprawdopodobne, wydaje się być bardzo dobrym.

— Ale gdyby tak było...

— Gdyby po bliższem poznaniu stał się dla mnie prawdziwie, ale *prawdziwie* nieznośnym, to...

— Tak, gdybyś się przekonała że nie posiada rozumu, wykształcenia lub serca, albo też że jego upodobania są całkiem odmienne od twoich?...

— Co do moich upodobań... nie wiem doprawdy, Eliano, czy mam jakieś tak bardzo wybitne. Lubię wiele rzeczy, jak taniec, muzykę, i wszelkie zabawy stosowne do mojego wieku, ale znów nie do tego stopnia abym nie mogła się ich wyrzec z łatwością, a przyjąć upodobania męża. Wszak stanie się to moim obowiązkiem czynić wszystko co będzie w mej mocy aby mu się podobać, i usilnie starać się o to aby mógł być zawsze zadowolnionym ze mnie.

— Trudno nawet przypuścić aby mógł być kiedyś niezadowolnionym z ciebie, rzekła Eliana mająca bardzo wysokie wyobrażenie o przymiotach swej kuzynki.

— Nie przywiązuję także zbyt wielkiej wagi do wyższego lub niższego stopnia naukowego wykształcenia pana de Monleon, gdyby miał złe serce lub zły charakter, to co innego, w takim razie nie byłoby mi to obojętnem... ale pod tym względem spuszczam się zupełnie na moją matkę; jest tak dobrą, rozumną, przenikliwą i tak mnie kocha, że nie pomyślałaby nigdy o tym związku, gdyby nie była pewną że nie ma nic do zarzucenia postępowaniu i charakterowi pana de Monleon, nie pojmuję więc jakim sposobem mogłabym powziąść jakiś wstręt do niego.

— Ale gdyby jednak przyszło do tego, zapytała znów Eliana, cóż uczyniłabyś w takim razie?

— Powiedziałabym mamie, a ona zerwałaby to małżeństwo, ale takie przypuszczenie jest zupełnie nieprawdopodobne.

Eliana nie chciała już pytać o nic więcej, i na tem skończyłaby się rozmowa, gdyby Bianka sama nie przeciągnęła jej długo jeszcze; było już po dwunastej gdy każda z nich udała się do swego pokoju. Bianka zasnęła spokojnie skoro tylko wsparła głowę na poduszkach, gdy tymczasem najmniej godzinę jeszcze sen nie chciał skleić powiek Eliany.

Wszystko co dziś słyszała i widziała wprawiło ją prawie w odurzenie; nie przypuszczała nawet dotąd aby można było pójść za mąż w podobny sposób. Gdy w myśli stawiała się na miejscu Bianki, i starała się wyobrazić sobie jakie to czyniłoby na niej wrażenie, czuła że serce jej wdrygało się na samą myśl włożenia na siebie jarzma tak na ślepo, zdając się zupełnie na czyjeś zdanie. A jednak uczucia wyrażone przed chwilą przez Biankę, rozczulały ją i rozbudzały w niej jakiś rodzaj niepewności. Co prawda wciągu porannej rozmowy wydawała jej się nader dziecinną i płochą, nawet o mało co nie posądziła ją o zupełny brak serca, ale za to wieczorem, jakkolwiek wiele z tego co Eliana słyszała wydawało jej się bardzo dziwnem, — ale jakże Bianka okazała się rozsądną, naturalną, pełną szlachetnych zamiarów i postanowień, wzruszającą swem przywiązaniem do matki i głęboką ufnością w Bogu!..

— Ha! pomyślała Eliana, może ona właśnie ma słuszność, może to o czem marzyłam jest tylko mrzonką nie podobną do urzeczywistnienia? Szkoda! ale jeżeli tak jest w istocie, to cóż czynić w takim razie? Poddać się pokornie swemu losowi, jeźli ktoś może, a w przeciwnym razie wyrzec się małżeństwa.

Ta ostatnia uwaga tak uspokoiła Elianę że zasnęła wkrótce, a nazajutrz obie kuzynki, pod opieką panny Sylwester, udały się jak zwykle do kościoła już o godzinie ósmej rano.

IV

Pierwsze godziny ranne przeszły jak zwykle. Rajnold (jak się to czasem zdarzało) wyszedł z domu przed śniadaniem, margrabina, Bianka i Eliana zajmowały zwykle swe miejsca przy okrągłem stole w salonie, gdy służący oznajmił baronową de Crécy.

Bianka wstała natychmiast i wyszła z pokoju, Eliana udała się za nią, i obie prawie zarówno wzruszone usiadły obok siebie w gabinecie. We dwadzieścia minut potem, turkot, oddalającego się powozu uwiadomił je że pani de Crécy odjechała, i prawie jednocześnie margrabina zawezwała do siebie córkę. Eliana nie nadługo pozostała sama, wkrótce Bianka wróciła do niej; ale już wraz z matką, pierwsza z nich wzruszona i zarumieniona, druga promieniejąca radością, została więc urzędownie zawiadomioną o małżeństwie kuzynki z hrabią Iwonem de Monleon. Eliana, przygotowana dostatecznie do tej wiadomości, okazała tyle tylko zadziwienia, ile mogła spodziewać się jej ciotka, i nie zdradziła ani jednem słówkiem swoich przekonań pod tym względem. Margrabina uprzedziła ją że powinno to do jutra pozostać w tajemnicy, ponieważ pan de Monleon ma być dopiero wieczorem przedstawionym Biance jako jej narzeczony.

— Jutro, rzekła, będzie to już wszystkim wiadome, ale dziś zaledwie będę miała czas donieść o tem listownie osobom które powinny otrzymać tę wiadomość wprost odemnie, i to w taki sposób aby każda z nich sądziła że odebrała ją pierwsza... Ale przedewszystkiem...

Tu pociągnęła taśmę od dzwonka.

— Czy pan Rajnold wrócił? zapytała gdy wszedł służący.

— Nie, pani margrabino.

— Uprzedź go, skoro tylko wróci, że czekam na niego w moim pokoju, i proszę aby tam przyszedł natychmiast. Następnie, podając służącemu bilet na którym nakreśliła naprędce: „Przyjdź do mnie dziś wieczorem, czeka cię tu ważna wiodomość," dodała: Niech natychmiast zaniosą ten bilet do wice-hrabiego de Malsaigne.

Wychodząc już z pokoju, przywołała do siebie córkę.

— Bardzo być może, odezwała się zniżonym głosem, że pan de Monleon, przyjdzie tu nie czekając wieczora; nie wychodź więc z domu, i włóż... ale nie, bardzo ci dobrze w tej sukni z niewarowego płótna z różowemi kokardami, pozostań jak jesteś i przyjdź do salonu zaraz jak przyślę po ciebie.

Przeczucie nie zawiodło margrabiny, spotkanie tak stanowcze w życiu Bianki, nastąpiło nie wieczorem ale po południu, tylko że w sposób całkiem nieprzewidziany, i zbaczający nieco od programu którego dotąd trzymano się tak ściśle.

Pan de Monleon przyszedł około czwartej, a wiedząc że nie spodziewano się jego wizyty o tej porze, uważał za właściwe posłać swój bilet. Czekając w przedsionku, spostrzegł na drugim jego końcu drzwi otwarte do ogrodu, zbliżył się do nich i zszedł ze schodów prowadzących na taras. Zaledwie postąpił kilka kroków, spotkał się z Bianką która wybiegła z gabinetu Eliany z koszyczkiem w ręku, i nucąc zrywała kwiaty. Zatrzymała się nagle spostrzegłszy kogoś obcego, i poznała go dopiero wtenczas gdy zbliżył się o tyle że mógł ukłonić jej się a następnie podać rękę. Zarumieniła się silnie, spojrzała niespokojnie koło siebie, jakby miała ochotę uciec, ale jednocześnie usłyszała głos który wczoraj wydał jej się tak miłym.

— Zaklinam panią zechciej mi podać rękę, wszak przychodzę tu na mocy upoważnienia uzyskanego dziś od matki pani, które, jak ośmielam się wierzyć, zgadza się także z twą wolą.

Bianka uspokoiła się tymczasem i podała panu de Monleon rękę, którą on pocałował i zatrzymał chwilę w swej dłoni.

— A więc ta ręka już do mnie należy... pani zgadza się na to, wszak prawda?..

— Mama powiedziała mi...

Zatrzymała się zmieszana.

— Pani margrabina, rzekł pan de Monleon, zgadza się na to abym został jej zięciem, a przesyłając mi swoje zezwolenie oświadczyła: że jest ono zgodne z wolą pani. Czy zechce pani powtórzyć to zapewnienie?..

— Panie..

— Odpowiedz mi pani, proszę, wiele mi na tem zależy.

— Panie...

— Pani!...

— Tak, panie.

Na tem skończyła się cała rozmowa, gdyż pani de Liminges dowiedziawszy się że hrabia de Monleon przyszedł, nadbiegła w tej chwili i przerwała to sam na sam. Zadziwiła się widząc że ceremonialne przedstawienie stało się już niepotrzebnem, ale zbyt była zadowolnioną z całego przebiegu tej sprawy, aby mogła przywiązywać wiele znaczenia do tak małego zboczenia od uświęconego zwyczajem ceremoniału.

Pan de Monleon zyskiwał na bliższem poznaniu. Na pierwszy rzut oka to tylko uderzało że twarz jego była dość pospolita; wysokiego wzrostu, nie miał żadnej dystynkcyi w ruchach i powierzchowności; kruczej czarności broda, i włosy, oraz zbyt silne kolory nadawały jego twarzy wyraz trochę ostry, ale usta wyrażały wesołość i dobroć; spojrzenie było szczere i pociągające, tak że nawet przekonawszy się iż nie odznacza się wyższemi zdolnościami umysłowemi, łatwo było można pokładać w nim zaufanie, i czuć się w jego obecności zupełnie swobodnym. Posiadał inne jeszcze ważniejsze przymio-

ty, miał także niektóre wady, ale tak jedne jak drugie nie zmieniały wyobrażenia powziętego o nim pod wpływem pierwszego wrażenia.

Tegoż samego dnia wieczorem, liczni goście zapełnili salon margrabiny wcześniej niż zwykle, gdyż wybrane osoby, którym udzielono tę pomyślną wiadomość *pierwej niż wszystkim innym*, pośpieszyły tak dla okazania swej życzliwości, jak też chcąc zaspokoić swą ciekawość. Wiadomość o zaręczynach Bianki rozeszła się już także po całym domu, i margrabina nie potrzebowała nawet wydawać rozkazu aby oświetlono rzęsiściej salony, i przyozdobiono je kwiatami; słowem, można było wyczytać łatwo na rozpromienionych twarzach służących (którzy bez wyjątku służyli tam już długo i wiernie) *że panienka idzie za mąż* i że oni cieszą się z tego.

Wśród tej ogólnej wesołości, jeden tylko Raynold był poważny i zamyślony. Wrócił późno do domu, i matka zaczęła czynić mu z tego powodu wymówki; bo jeżli niecierpliwiło ją to zawsze gdy wracał dopiero na obiad, to dziś drażniło ją to jeszcze więcej, z powodu że chciała udzielić mu jak najśpieszniej tak ważną wiadomość

Raynold nie domyślając się tego zmarszczył trochę brwi, słuchając wymówek matki która nie mając czasu do stracenia, uwiadomiła go pośpiesznie że związek pomiędzy jego siostrą a panem de Monleon został już stanowczo ułożonym, i że za godzinę pozna przyszłego szwagra.

— Z panem de Monleon? powtórzył z największem zadziwieniem. Pan de Monleon ma zostać moim szwagrem! mężem Bianki?...

— Bezwątpienia, skoro tak mówię.

— Czy mama jest z tego zadowolnioną?

— Bardzo.

— Cóż na to mówi Bianka?

— Ma się rozumieć że ją to cieszy.

— A pan de Monleon?

— Nie ma się o co pytać, skoro dał jej pierwszeństwo nad wszystkiemi pannami w Paryżu.

— Co też Eliana o tem myśli? zapytał jeszcze Raynold po chwili milczenia.

— Eliana?... Nie wiem doprawdy, i nie potrzebuję wiedzieć. Wkrótce przyjdzie i na nią kolej, a w takim razie zapytam się o jej zdanie, coby to było zbytecznem gdy idzie o Biankę. Ale chcę wiedzieć co ty o tem myślisz?

— Ja, moja matko, nic powiedzieć nie mogę. Nie znam pana de Monleon; onegdaj wieczorem widziałem go pierwszy raz w życiu, i to jeszcze zdaleka, a jeżli mam wyznać prawdę, to nie zachwycił mnie swą powierzchownością.

— A jednak jest bardzo przystojny.

— To już rzecz gustu; ale skoro podobał się tak mamie jak Biance, czegóż można żądać więcej... Co do mnie, przyznaję, że wolałbym aby Bianka nie oddawała ręki człowiekowi zupełnie mi obcemu, ale... nie wątpię że mama zna go dobrze.

— Tak... odpowiedziała pani de Liminges z pewnem wahaniem, a przynajmniej o tyle że mogę być spokojną o los Bianki.

— Zapewnie i ona zna go także i... i podobał jej się?

— O! co do twej siostry, Raynoldzie, to nie przypuszczam nawet abyś mógł wątpić że chętnie oddaję rękę człowiekowi ktorego wybrałam jej na męża.

— Wiem że tak czyni większa część panien.

— Nie sądzę, odpowiedziała z żywością pani de Liminges, abyś zaliczał twą siostrę do rzędu tych romantycznych i samowolnych panien, które pod tym względem stanowią wyjątek.

— O! z pewnością nie, odpowiedział Raynold z uśmiechem. Dla tego też nie mam nic przeciwko temu, i jestem gotów żyć w zgodzie z tym szwagrem spadającym mi nagle jakby z obłoków.

Wkrótce potem margrabina przedstawiła uroczyście synowi narzeczonego córki, i przyszły szwagier podobał mu się więcej niż się tego spodziewał widząc go tylko zdaleka. Pomimo to Raynold nie mógł się dostroić do ogólnej wesołości, i po niejakim czasie usunął się w kąt salonu, z którego mógł widzieć wszystko nie będąc zmuszonym do prowadzenia rozmowy. Słyszał wiele o małżeństwach skojarzonych w ten sposób, ale po raz pierwszy odbywało się to przed jego oczyma, i jakkolwiek wiedział że wszystko przemawiało za tym związkiem, że nie tylko matka jego ale i siostra była z niego zadowolnioną, co łatwo wyczytać z jej twarzy, nie mógł się wyzwolić od jakiegoś przykrego uczucia które napełniało serce jego głębokim smutkiem.

Patrzył na Biankę na której ręce połyskiwał dar narzeczonego, zaręczynowy pierścionek z przepysznym szmaragdem, otoczonym brylantami, gdy tymczasem wyglądała prawie jak dziecko w białej muślinowej sukni i w świeżych kwiatach przy głowie, co stanowiło uderzającą sprzeczność z uroczystem zobowiązaniem którego symbol nosiła na palcu. Rozmawiała jednak wesoło i swobodnie z panem de Monleon, gdy zbliżali się do Eliany, która powstała podając rękę narzeczonemu kuzynki, i patrząc na niego z wyrazem życzliwej ciekawości, dowodzącej że widzi go pierwszy raz w życiu. Dla czego więc wczoraj zmieszała się tak widocznie? Zagadka nie została rozwiązaną, a jednak Raynold odzyskał wesołość, i wszystko przedstawiało mu się teraz w mniej posępnem świetle. Z jakiego powodu? Nie zadawał sobie tego pytania, nie miał zwyczaju zastanawiać się tak bardzo nad swemi myślami, lub zdawać sobie sprawę z popędów swego serca...

Zaledwie Eliana zdołała zamienić kilka słów z panem de Monleon, który dzięki poczciwości i szczerości malującej się na jego twarzy, sprawił na niej nadspodziewanie korzystne wrażenie, gdy odwołano narzeczonych na drugi koniec salonu, gdzie oczekiwały ich nowe życzenia i powinszowania, poczem usiedli obok siebie w końcu salonu, i rozpoczęli pierwszą sam na sam rozmowę.

Eliana siedziała dotąd obok panny Sylvester przy otwartem oknie, ale w końcu pociągnięta urokiem pogodnej nocy letniej, wyszła na balkon gdzie też wkrótce znalazł się obok niej Raynold, już od pewnego czasu zbliżający się nieznacznie w tę stronę.

— Jakiż to śliczny wieczór zakończa dzień tak pomyślny, odezwała się Eliana, bo wszakże musisz być zadowolnionym, Raynoldzie, skoro Bianka jest tak szczęśliwą.

— Tak się rzeczywiście zdaje, i cieszy mnie to bardzo, gdyż ją kocham szczerze, i nie mógłbym zezwolić na to aby ją czyniono nieszczęśliwą. Ale też nie było to bardzo prawdopodobnem.

— Dlaczego.

— O! bo Bianka należy do liczby osób zrodzonych do szczęścia; to jest takich których marzenia o szczęściu łatwo mogą być urzeczywistnione.

Eliana milczała; pragnęła wiedzieć co Raynold myśli o małżeństwach zawieranych w ten sposób, ale nie śmiała zapytać go o to.

Czy pozwolisz, Eliano, odezwał się znów po chwili, abym ci zadał jedno pytanie?

— I owszem, mój kuzynie, odpowiem na nie chętnie.

— A więc powiedz mi czemu wczoraj przy obiedzie zmieszałaś się tak widocznie, gdy wymieniłem nazwisko pana de Monleon?

Pytanie przychodziło w samą porę, gdyż ułatwiało jej wypowiedzenie tego co jej się ciągle nasuwało na usta, a jednak pomimowolnie odwróciła głowę i zarumieniła się równie silnie jak wczoraj, czując że trudno jej będzie powiedzieć prawdę bratu Bianki. Gdy jednak spostrzegła że to podnieciło jeszcze jego ciekawość, i z widocznem naleganiem powtórzył pytanie, odpowiedziała:

— Wiedziałam już od Bianki że prawdopodobnie pójdzie za pana de Monleon, gdy więc nagle usłyszałam jego nazwisko, wraz z nie zbyt korzystnem opisaniem jego powierzchowności, zarumieniłam się pomimowolnie.

— I to już wszystko?... zapytał Raynold z pewnym wyrazem powątpiewania.

— Nie, Raynoldzie, nie wszystko jeszcze, odpowiedziała z żywością. Czemu nie miałabym powiedzieć ci, że gdy wczoraj Bianka mówiła mi o panu de Monleon dowiedziałam się jednocześnie, iż we Francyi zdarza się często, że osoby całkiem sobie nieznane, zamyślają o połączeniu się z sobą nierozerwalnemi węzły... Gdy następnie usłyszałam tak niespodziewanie jego nazwisko, zdawało mi się że odgadnięto moje myśli, i że każdy może wyczytać z mej twarzy, nietylko zdumienie jakiem mnie to przejmuje, ale, jeżli mam powiedzieć prawdę, jakiś rodzaj oburzenia. Dziś jednak widzę że to co mi się wydawało czemś tak nadzwyczajnem, jest w oczach innych osób rzeczą zupełnie naturalną; z czego wypada mi wnosić że się mylę, lub przynajmniej mam jakieś całkiem odmienne od nich wyobrażenia i uczucia... Ale teraz... skoro odpowiedziałam tak szczerze na twoje pytanie, Raynoldzie, powiedz mi także co myślisz o tym zwyczaju?

— Co o nim myślę? odpowiedział z żywością, jest dla mnie równie wstrętnym jak dla ciebie, i nie myślę stosować się do niego.

— O! jakże mnie to cieszy! zawołała Eliana z wyrazem najżywszej radości, nie zdając sobie sprawy z tego co powiedziała, ani też dlaczego to powiedziała.

— Tak, mówił dalej Raynold, mogę choć raz wyjawić szczerze co o tem myślę... Zwykle unikam tego przedmiotu, bo, dodał trochę drżącym głosem, gdybym powiedział że pragnę przedewszystkiem kochać tę z którą mam połączyć się na zawsze, i mieć tę pewność że jestem od niej kochany, oświadczonoby mi że są to niedorzeczne marzenia.

— Wyobrażałam sobie dotąd że są to właśnie warunki niezbędne do zawarcia małżeństwa, rzekła Eliana; ale pochodzi to zapewnie ztąd że żyłam ciągle zdala od świata, i nie znałam jego zwyczajów.

— O! bezwątpienia. Ale... czy miałabyś teraz zmienić zdanie? zapytał patrząc na nią bystro. Mogłoby przyjść do tego, bo wszyscy będą ci dowodzić że twe wyobrażenia są błędne.

— Nie, rzekła Eliana pewnym głosem, jestem najsilniej przekonana że pod tym względem nigdy nie zmienię zdania.

Zamilkli oboje, jakkolwiek nie wyczerpali jeszcze tego przedmiotu. Nasunęło im się może na myśl że „zbyt zgadzać się z sobą bywa czasem niebezpiecznie" i nie przedłużając już rozmowy wrócili do salonu, gdzie margrabina w wybornym humorze, rozmawiała ze swymi gośćmi. Nie przeczuwała nawet że na horyzoncie zaczęła już ukazywać się chmurka mogąca zaćmić różowe światło w jakiem

obecnie przedstawiała jej się teraźniejszość i przyszłość.

V.

Ślub miał się odbyć dopiero w końcu lipca, gdyż niezbędne do niego przygotowania wymagały najmniej sześć tygodni czasu. Tym sposobem wyjazd margrabiny do Erlon-les-Bois opóźniał się znacznie, ale ten raz nie wahała się odstąpić od przyjętego zwyczaju, bo wszakże raz tylko w życiu wydaje się za mąż swą jedynaczkę.

Trzeba zresztą przyznać że w małem kółku znanych nam już dobrze osób, czas nie wydawał się nikomu długim. Odbywano wycieczki w okolice Paryża, dla pokazania ich Elianie, lub zwiedzano wspólnie galerye i muzea. Bianka rano przymierzała suknie, a wieczorem oglądała prezenta przyniesione w czasie jej nieobecności, i cieszyła się wszystkiem z trochę dziecinną jeszcze radością, bo obawa jaką łudziła w niej tak blizka zmiana położenia, zmniejszała się w miarę jak wzrastało zaufanie w tym który miał być panem jej losu.

Zresztą, Iwo de Monleon pozyskał wkrótce serca wszystkich, dzięki swemu zdrowemu rozsądkowi oraz dobroci swego charakteru, a wciągu tych wspólnych wycieczek dawał nawet dowody pewnej erudycyi posiadającej niejaką wartość. Nikt nie potrafiłby lepiej od niego oznaczyć z której epoki pochodziły jakieś stare meble, zegary lub przedmioty sztuki... Ale gdy mówiono o piękności położenia, lub gdy szło o wspomnienia historyczne przywiązane do jakiegoś miejsca, wtenczas słuchał i patrzył z roztargnieniem, zdając wszelkie objaśnienia na pana de Malseigne i Raynolda, którzy chętnie odpowiadali na pytania Eliany.

Armand de Malseigne zwykle małomówny i nie lubiący zwracać na siebie uwagi, należał jednak do tych ludzi o których prawie słusznie wyrazić się można że umieją wszystko. W ciągu swego całkiem niezależnego życia, poświęconego głównie podróżom i nauce, czytał tak wiele i zwiedził tyle krajów, że trudno byłoby znaleźć cóś całkiem mu obcego. Co do Raynolda, ten nie wiele przedmiotów znał gruntownie, ale posiadał umysł bystry, obejmujący wszystko z łatwością, a prócz tego rzadki dar wysłowienia, dozwalający mu tłómaczyć swe myśli płynnie i wymownie. Nigdy jednak ten dar nie przedstawił się tak świetnie jak w ciągu tych przechadzek urozmaiconych rozmową, która przechodząc z przedmiotu na przedmiot dotykała niekiedy zadań najpoważniejszych, poruszających wszystkie struny duszy. Eliana słuchała wtenczas z natężoną uwagą, gdy tymczasem Iwo i Bianka zajmowali się wyłącznie sobą.

Nie sądźmy jednak aby ich rozmowa była podobną do zwykłej rozmowy zakochanych, nie—oni tylko tworzyli plany na przyszłość, to świetne, to blahe, to wzniosłe i szlachetne. Czasem naradzali się jakim kolorem mają być pokryte meble, a czasem znów mówili o dobroczynnych ulepszeniach które Iwo zamierzał zaprowadzić w swych dobrach Crécy, i chciał zawczasu obeznać z niemi tę która miała mu w tem dopomagać. Z twarzy Bianki znikał w takim razie wyraz dziecinnej prawie wesołości, a w oczach jej malowało się najżywsze zajęcie, bo jakkolwiek nie była uczuciową i poetyczną, to wynagradzała ten brak szczerą pobożnością i szlachetnością uczuć. Słowem o czemkolwiek zaczynali mówić, przekonywali się z radością że mają jednakowe wyobrażenia i upodobania, co budziło w nich co raz silniejsze przekonanie, że pożycie ich będzie prawdziwie szczęśliwe.

Ale i dnie obecnie upływające były już prawdziwie pięknie, i nie dla nich tylko. Eliana widząc jakie skutki sprowadziły te przedwstępne kroki które ją tak oburzały, była już zupełnie spokojną o los kuzynki, i używała z upojeniem szczęścia chwili obecnej. Prawda że w pierwszych latach swego życia, czuła się zupełnie szczęśliwą, ale nigdy jeszcze nie żyła wśród tej świetlanej atmosfery jaką młodość roztacza koło siebie. Pierwszy raz dopiero radosna teraźniejszość połączona z jakąś nieokreśloną nadzieją co do przyszłości, zamieniała dla niej uczucie własnego istnienia w jakąś żywą i przejmującą rozkosz. Po krótkiej rozmowie z kuzynem na balkonie, nie rozmawiała już z nim wcale bez świadków: a jednak błogie wrażenie doznane wtenczas, odnawiało się bezprzestannie wciągu tych dni które spędzali razem, otoczeni wiosną roku i wiosną życia. Żadne z nich nie życzyło sobie szczęścia którego przedstawicielami byli Iwon i Bianka, ale zawsze *było to szczęście* a chociaż przemawiało obcą dla nich mową, kto wie czy nie potrafiliby jej przełożyć na język który ich serca zrozumiałyby łatwo.

Eliana zresztą nie zdawała sobie sprawy z tych różnorodnych wrażeń. Czuła się szczęśliwą i to jej wystarczało, a jej umysł i piękność rozkwitły pod tym dobroczynnym wpływem jak kwiaty pod wpływem słońca.

Te dni tak przyjemne wróciły jeszcze Elianie jedną z jej najmilszych rozrywek w domu dziadka, za którą ciągle tęskniła. Pan de Monleon wiedział że Bianka jeździ dobrze konno, wypytał się o to zanim zgodził się na spotkanie z nią u pani de Crécy; gdyż będąc sam doskonałym jeźdźcem i zawołanym myśliwym, chciał aby i pod tym względem, jak pod każdym innym, żona podzielała jego upodobania. Ale Bianka tylko na wsi jeździła konno, i dopiero po długich i usilnych naleganiach Iwona, który okazał przy tej sposobności że pomimo wielu przymiotów posiada niezwykłą dozę uporu, pani de Liminges uległa nakoniec jego żądaniu, i zezwoliła na przejażdżki konne, z warunkiem aby odbywały się bardzo rano, to jest, gdy mogła być prawie pewną że nie spotkają nikogo ze znajomych. Ponieważ panna Sylwestre nie mogła brać udziału w tych wycieczkach, więc prócz narzeczonego, Eliana, Rajnold i pan de Malseigne mieli zawsze towarzyszyć Biance.

Bianka ładnie wyglądała na koniu, trzymała się na nim spokojnie i zgrabnie, brak jej było jednak tej swobody i pewności jaką posiadała Eliana, która aż do śmierci dziadka co dzień jeździła konno.

Te poranne przechadzki dodawały jeszcze więcej uroku pięknym dniom, mającym pozostawić na zawsze błogie wspomnienie w pamięci tych kilku osób. Dla jednych były jutrzenką długiego szeregu lat szczęśliwych, dla innych, może przykrych i ciężkich do przebycia, ale dla wszystkich stanowiły epokę do której myśli ich miały zwracać się przez całe życie, z westchnieniem radości lub smutku.

Zbliżał się koniec lipca; ślub Bianki miał się odbyć za tydzień, ona zaś na te ostatnie dni miała udać się do klasztoru, w którym, zaledwie pięć lat temu, przyspasabiała się do pierwszej komunii.

Po ostatniej wspólnej wycieczce konno, Raynold udał się do pana de Malseigne, i kończyli właśnie w milczeniu śniadanie, gdy Armand odezwał się nagle:

— Trzeba przyznać, że odwaga, a nawet trochę zuchwałej śmiałości, jeźli się ukazuje w stosownej chwili i nie czyniąc ujmy skromności i słodyczy charakteru, nie tylko że nie szkodzi kobiecie, ale nawet dodaje jej wiele wdzięku. Pomimo wszystkiego co głoszą o współczuciu jakie budzi słabość i tkliwość, dla mnie ma bezporównania więcej uroku pewien rodzaj odwagi, zdradzającej moc duszy i siłę woli umiejącej panować nad sobą.

— Masz słuszność, rzekł Raynold, odpowiadając jednocześnie na te słowa i myśli przyjaciela, Eliana była wczoraj prawdziwie uroczą! Czy można było nie zachwycić się jej spokojem i przytomnością umysłu, gdy ten jakiś przechodzień tak przestraszył jej konia? A jakże była zachwycająca wtenczas gdy Monleon zapytał jej, tak niepotrzebnie, czy kiedy przeskoczyła przez beryerę, a ona przesadziła natychmiast tę do której się zbliżała!.. Jednak w jej obejściu i ułożeniu jest tyle prawdziwie kobiecej łagodności i słodyczy, że ta jej śmiałość i odwaga tym dziwniejszą się zdaje. Ale powiedz mi, Armandzie, czy widziałeś kiedy młodą panienkę choćby w czemkolwiek do niej podobną?

— Wyznaje że nie, choć nie dostrzegłem tego z początku, olśniony jedynie jej pięknością. Teraz widzę że nietylko mówić, ale nawet milczeć umie inaczej jak inne. Daj Boże aby to śliczne dziewczę było szczęśliwem!.. aby życie jej było błogiem i pogodnem!

— Daj Boże!. powtórzył Rajnold, i umilkli zamyśleni.

— Przewiduję już, odezwał się po niejakim czasie Malseigne, zapalając cygaro, że twoja zacna matka, dość lubiąca kojarzyć małżeństwa, i której obecnie powiodło się tak świetnie, rozpocznie wkrótce poszukiwania w celu wydania za mąż synowicy.

— O! nie, Armadzie, wszak wiesz że byłyby to daremne starania, zawołał z żywością Rajnold.

— Pamiętam co mówiłeś o sposobie zapatrywania się Eliany na podobne związki... Ale kto wie?.. Obraz który ma obecnie przed oczyma, może wpłynąć na zmianę jej zdania.

— Wątpię bardzo

— Zresztą, może jej się zdarzyć jakaś partja której nie miałaby nic do zarzucenia.

— To jest ktoś taki któryby pozyskał jej serce?

— Bezwątpienia... Sądzę że nie byłoby w tem nic tak nadzwyczajnego... tem więcej że może ona łatwo wzbudzić namiętne uczucie.

— O! z pewnością!

— A wiesz że nie ma nic zaraźliwszego w świecie.

— Tak sądzisz, Armandzie?

— Pytasz się jakbyś nie wiedział o tem lepiej odemnie.

— Wiedziałem rzekł Rajnold zamyślony.. tak, wierzyłem w to kiedyś... ale dziś nie jestem już tego pewnym.

Malseigne mówił dotąd z pewnem roztargnieniem, w które zresztą wpadał dość często, ale teraz dosłyszał w głosie przyjaciela jakiś dźwięk który rozbudził nagle jego uwagę i przenikliwość.

— Nie jesteś już tego pewnym? powtórzył wolno wpatrując się w Rajnolda... A! mój Boże! zawołał po chwili uderzając się w czoło, musiałem być dotąd ślepym lub idyotą! Ty kochasz Elianę!... Jakież to nieszczęście!.. Wstał, rzucił cygaro i zaczął chodzić po pokoju.

(D. c. n.)



N. 1. Sukienka z paletocikiem. dla panienki lat 7—9. Patrz r. 2. Krój na arkuszu N. XII, fig. 64—68.

Opis do N-ru 2.

(Dalszy ciąg).

N. 7. Fartuszek ozdobiony haftem kolorowym.

Efektowny haft zdobiący fartuszek odrobiony był dobrą do prania bawełną koloru ponsowego, zielonego, żółtego, bronzowego, i niebieskiego; ściegiem sznureczkowym odznaczone są wszystkie kontury a środki kwiatów zapełniane różnego rodzaju ściegami. Kolory w odcieniach niezbyt jaskrawych, rozdzielone są w ten sposób, iż na kwiaty użyty ponsowy, niebieski i trochę żółtego a na gałązki i liście bronzowy i zielony. Szlak 3 cent. szeroki, wyszyty kolorem niebieskim, żółtym i bronzowym. Napierśnik ma formę trójkąta, z boków po 27 c. długiego, u dołu po zaszyciu małych zaszewek 30 cent. szerokiego i wszywa się w 4 cent. szeroki pasek fartuszka, 67 c. długiego, 62 szerokiego, który w górze zaszywa się klinIasto, do 40 cent. szerokości. Dół fartuszka oszyty niciana̢ koronką 9 cent. szeroką.



N. 3. Sukieneczka dla dziewczynki lat 2—4. Krój na arkuszu N. XV, fig. 76—80.

N. 4. Sukieneczka dla dziewczynki lat 4-6. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 69—73.

N. 5. Ubranie dla chłopca lat 4—7. Krój na arkuszu N. IV, fig. 16-21.

N. 8 i ryc. 28 w N-rze 1. Suknia zdobna aksamitem i pasmanteryą. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 84.

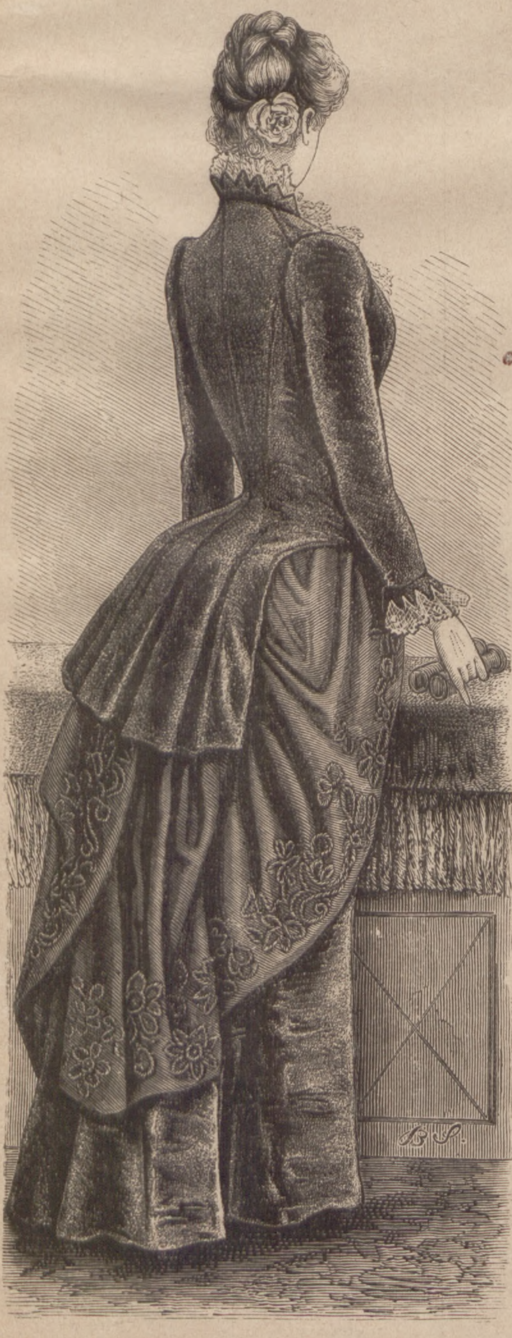
W ubraniu tem ładnie odbija zestawienie kaszmiru koloru żandarmskiego, z aksamitem granatowym przerabianym z ponsową nitką, lub jak na ryc. 28 w N-rze 1 kaszmiru bronzowego z aksamitem w pasy bronzowe do cieniu. Pasmanterya powinna być koloru sukni, podłożoną aksamitem. U dołu sukni cztery wązkie, plisowane falbaneczki, zajmujące wzdłuż 14 cent. a nad niemi skos aksamitny 20 cent. szeroki. Boki sukni o ile widoczne są z pod tuniki, naszyte są plisami aksamitnemi 5 i 12 cent szerokiemi. Krój tuniki i wymiar brytów daliśmy na fig. 84



N. 2. Sukienka z paletocikiem. dla panienki lat 7—9. Patrz ryc. 1.



N. 6. Szlaczek wyszyty złotem i srebrem.



N. 9. Suknia ze skośną draperyą. Patrz r. 10. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 83.

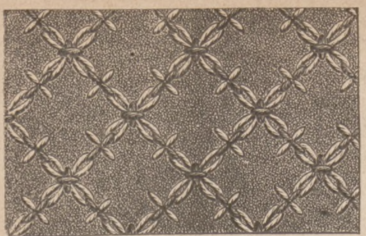


N. 7. Fartuszek z kolorowym haftem.

N. 8. Suknia zdobna aksamitem i pasmanteryą. Patrz r. 28. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 84.



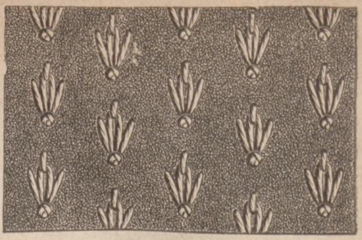
N. 10. Suknia ze skośną draperyą. Patrz ryc. 9. Krój na arkuszu XVII, fig. 83.



N. 11. Wyszycie do pantofla r. 37.



N. 13. Haft na poduszkę do kanapy.



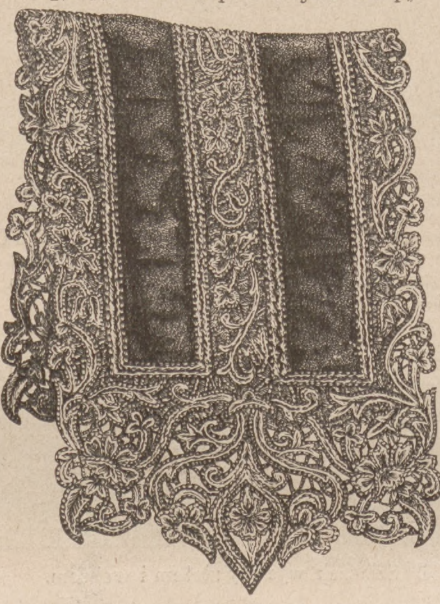
N. 12. Wyszycie do pantofla r. 37.



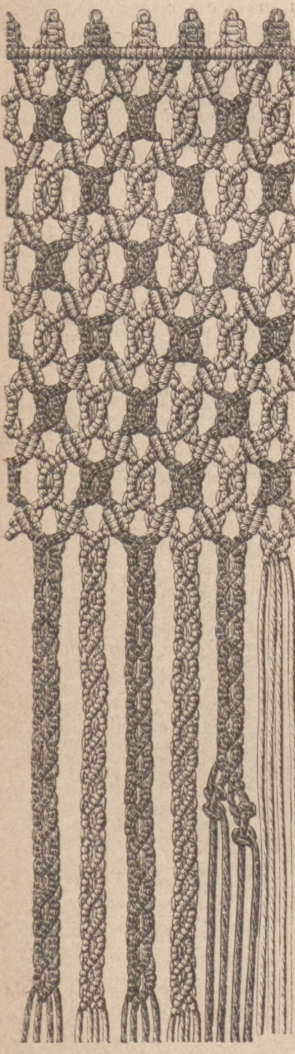
N. 15. Woreczek do tytoniu. Robota wiązana patrz ryc. 16.



N. 17. Woreczek na kłębek. Patrz ryc. 18.



N. 14. Przykrycie na poręcz od krzesła. Haft gipiurowy. Patrz ryc. 31 i fig. 85.



N. 16. Robota wiązana (macramé) do ryc. 15.



N. 18. Robota wiązana (macramé) do ryc. 17.



N. 19. Część deseniu na serwetę ryc. 32 w N-rze 1.



N. 20. Przód dolmana r. 36 w N 1.



N. 21. Przód burnusa r. 35 w N-rze 1.

N. 9—10. Suknia ze skośną draperyą Krój na arkuszu N. XVII, fig. 83.

Spódnica podszyta u dołu drobniutkiem plisowaniem atłasowem jest zarówno jak i stanik uszyta z pluszu, na draperyę zaś użyty gruby materyał wełniany; krój takowej łatwo dopasować podług miar i znaków wskazanych ne fig. 83. Dwa bryty materyału potrzeba wzdłuż prawych brzegów ozdobić haftem płaskim 20 cent. szerokim. Litera *a* na fig. 83 oznacza część fartuszkową wraz z częścią tylnej draperyi, a litera *b* znaczy drugą część tylną. Upięcia łatwiej dojść podług ryc. 9—10 niż z opisu, gdyż układu fałd niepodobna określić. W staniku pluszowym zasługuje na uwagę wycięcie w zęby brzegów przednich wzdłuż zapięcia, brzegu kołnierzyka i rękawów; pod ząbki podgarnirowana jest koronka biała.

część *a* wskazuje połowę przodu górna połowa brzegu bocznego zfałdowana do 12 c. wpuszczona jest w szew spódnicy łączący bryt boczny z tylnym niższa przypięta jest do spódnicy za pomocą wielkich szmuklerskich haftek, jakie widzimy na ryc. 8. Upięcie tylne wskazane jest całkowicie pod literą *b*; składa się ono z prostego bryta z jednego brzegu zaokrąglonego z drugiej strony zfałdowanego ściśle, w odstępie 60 c. od góry, ten gładki odstęp po upięciu bryta stanowi rodzaj pukla. Górny brzeg jest także sfałdowany; po upięciu tuniki brzeg zaokrąglony przyczepia się na sukni i fałdy po ułożeniu muszą być gdzieniegdzie przyczepione niewidocznie. Stanik zapięty niewidocznie na haftki przybrany aksamitem i pasmanteryą z przodu 11, z boków 10, na kołnierzyku stojącym 5 cent szeroką. Przybranie aksamitne stanika, przechodzące nakształt bretelek i z tyłu założone w pukle 10 c. długie, zwęża się stopniowo od ramion do stanu. Mankiet 11 c. szeroki naszyty wzdłuż plisami aksamitnemi, przy ręku zakończony falbanką.

N. 13. Haft na poduszkę do kanapy.

Moda obecnie zastosowywa plusz do rozmaitych użytków, do wszelkich ubrań i robót; ponieważ jednak haft na tym materyale jest niemożliwy więc zastępuje się aplikacyą wyszycia na kanwie, ściegiem krzyżowym lub gobelinowym. Na mniej mięsistem tle możnaby kanwę podłożyć i wysiepać po skończeniu roboty, na pluszu byłoby to niepraktyczne bo wyszycie nikłoby wśród puszystego włosa, potrzeba więc wykonać haft na kanwie, wyciąć i aplikować. Ryc. 13 przedstawia haft na tle (liczącem w kwadrat 42 cent.) z jedwabnego pluszu koloru czerwonawego ciuvre, odrobiony ściegiem gobelinowym filozelą w bladych kolorach na kanwie, następnie wycięty tak aby kanwa pozostawała brzegiem kontu-

rów i aplikowany na pluszu wszytym w krosna. Haft trzeba przyszywać jedwabiem tego samego koloru co każda część deseniu. W około tła dana rama z pluszu oliwkowego koloru a na zszyciu szlaczek ściegiem luźnym.

N. 14. Przykrycie na poręcz krzesła. Haft gipiurowy. Deseń na arkuszu z krojami, fig. 85.

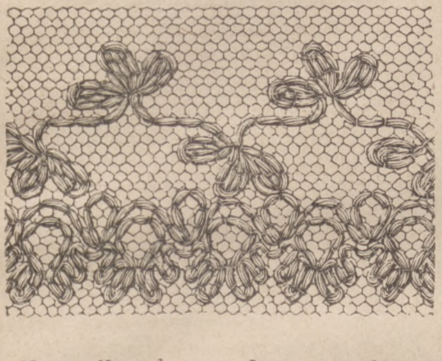
Model składał się z bardzo efektownego kolorowego haftu gipiurowego i z pasów ciemno ponsowego



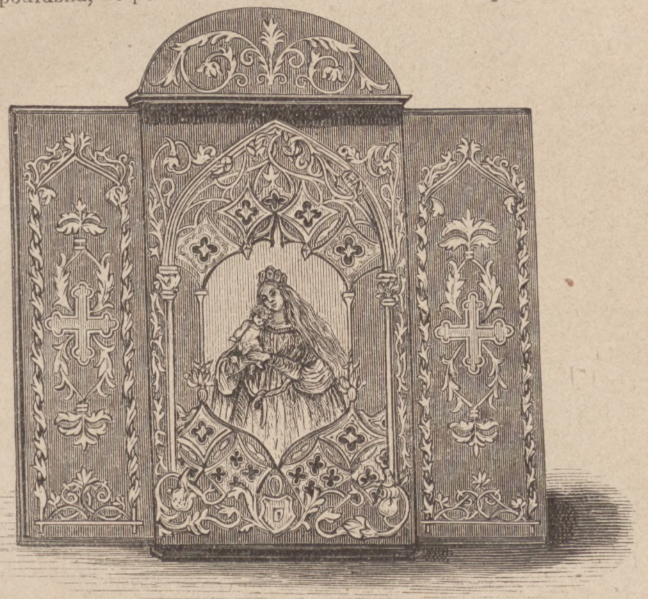
N. 22. Serwetka podłużna, do położenia na środku obrusa. Deseń pátrz fig. 91a—91b.

N. 27. Czepeczek aksamitny. Krój na arkuszu N. VII, fig. 43—44.

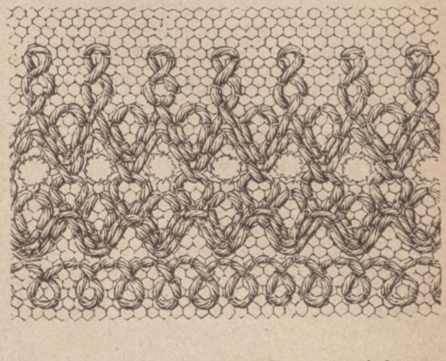
Model uszyty był z ponsowego aksamitu na podszewce z materyi surah. Garnirunek dany z białej gipiurowej koronki 6 c. szerokiej, na przyszyciu idzie rząd torsadki perełek, z wiszącemi grelotkami. Końce aksamitne lub atłasowe 3—5 cent. szerokie, 75 długie, związane w kokardę.



N. 23. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 25. Pulpit składany, ozdobiony malowaniem na drzewie. Patrz na arkuszu fig. 87—90.



N. 24. Koronka wywodzona na tiulu.

pluszu po 11 c. szerokich. Na ryc. 31 w N-rze 1 daliśmy w naturalnej wielkości część bocznego szlaku, a fig. 85 daje deseń na zakończenie poprzeczne, który dopełnia się podług ryc. 14. Na tło pod haft użyta żółtawa kanwa kongresowa; kontury odznaczone są podwójnie wziętą włóczką hamburgską, przydzierganą filozelą tego samego koloru. Takąż włóczką i filozelą haft przyszywa się do pluszu. Środki deseniu zapełniane ściegiem cierniowym, długim i płaskim.

N. 28. Wachlarz.

Z gładką oprawą z kości słoniowej, oklejony atłasem koloru krème zakończony frendzelką z piór, ozdobiony jest szlakiem haftowanym kolorowym i złotą koroneczką.

N. 30 i 23—24. Fartuszek dla dziecka.

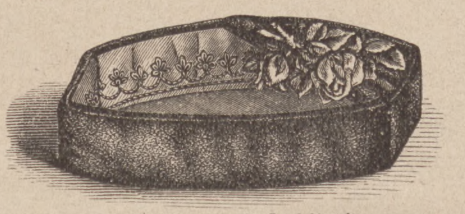
Przody i plecy krajane jednakowo, przymarszczone lekko w górze wstębnowane są w podwójny pasek, zaszyty w ząb na ramionach. U dołu dany szeroki obrąb i koronka, którą można wywodzić ręcznie podług r. 23—24. Plecki w pasie przewiązane są szarfą.



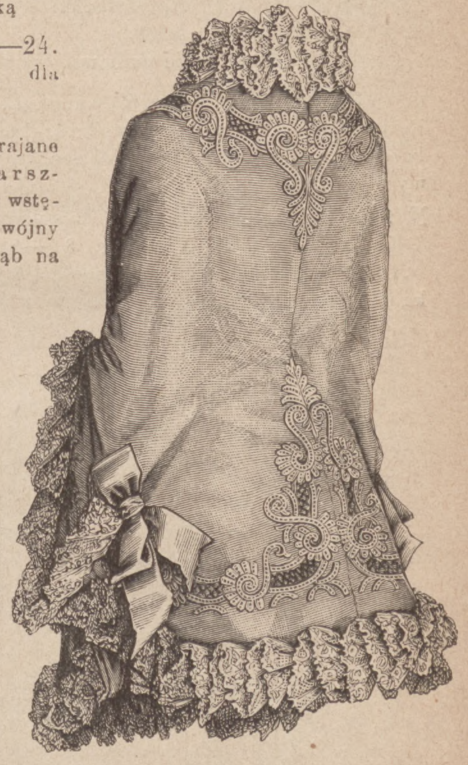
N. 27. Czepeczek do teatru. Krój na arkuszu N. VII, fig. 43 do 44.



N. 28. Wachlarz.



N. 26. Koszyczek do biletów.



N. 29. Okrycie do teatru. Patrz r. 44 w N-rze 1. Krój na arkuszu N X, fig. 58—61a.

N. 26. Koszyczek do biletów.

Foremkę można przygotować z grubej tekturki i z wierzchu obszyć pluszem a w środku atłasem koloru vieil-or, ozdobionym hafcikiem. Na skośnie przymocowanym pasku pluszowym służącym do podnoszenia koszyczka, przypięta gałązka róży.

N. 31. Koronka irlandzka na krawatkę lub barbkę. Deseń patrz fig. 86.

Może być odrobiona z tasiemeczki czarnej lub białej; na której kontury



N. 30. Fartuszek dla dziecka.



N. 31. Krawatka lub barbka. Deseń patrz fig. 86.



N. 32. Fartuszek z paskiem bawetowym. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 81—82.



N. 33. Ubranie domowe.

des niu obwodzone są złotym sznureczkiem. Ryc. 31 daje w naturalnej wielkości koniec koronki, a dalszy ciąg deseniu do środka mamy na fig. 86

N. 32. Fartuszek z paskiem bawełnowym. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 81—82.

Uszyty z cieniutkiego szwajcarskiego perkalu ponsowego a zdobny szlakiem z kart drukowanym na jasnem tle, 6, 4, 1 i pół cent. szerokiem; w odstępie 11 c. od brzegów bocznych zaczyna się marszczenie fartuszka, na 9 cent. wzdłuż, przez co górna szerokość 47 cent. wynosi. Pasek bawełnowy u dołu ścięty w dwa zęby, zachodzi na fartuszek tak iż długość środkowa wynosi 58 c. Do wiązania końce z wstążki.

N. 33. Ubranie domowe.

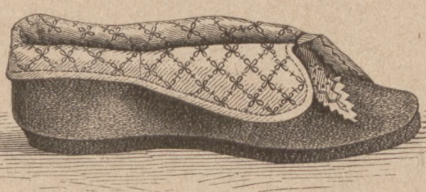
Odpowiednie dla młodej osoby, uszyte z materyału wełnianego w kratę odznacza się prostotą w wykończeniu. Przy staniku bawełnowym z szerokim wykładanym kołnierzem, podłużny wykrój szyi odsłania kolorowy krawat formą podobną do męzkiego, zapięty na stojącym kołnierzyku. Jedyne przyozdobienie stanowią dwa rzędy guzików i stębnówka w około brzegów. Draperya złożona w poprzeczne fałdy, przypięta poniżej stanika, z jednego boku zebrana jest w górę pod sutą rozetą z wstążki, z długo spadającemi puklami i końcami. Z tyłu dane upięcie z prostego bryta.



U. 34. Ubranie strojne wizytowe.



N. 35—36. Ubrania wieczorowe dla młodych panienek. Krój na arkuszu N. II, fig. 6—10.



U. 37. Pantofel filcowy. Patrz ryc. 11—12. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 74—75.

N. 34. Ubranie wizytowe.

Do spódnicy z materyi jedwabnej przerabianej w aksamitne grochy, garnirowanej tylko u dołu, włożony krótki aksamitny staniczek strojnie przybrany kamizelką z tiulu koronkowego, plisowaną w fałdki, spiętą w pasie klamrą i spadającą poniżej stanu na 16 cent. Z takiegoż tiulu dane panier oszyte koronką. Upięcie tylnę dane z tej co suknia materyi.

N. 35—36. Ubranie balowe, dla młodej osoby. Krój na arkuszu N. II, fig. 6—10.

Ryc. 35 przedstawia suknię z bladoniebieskiego tiulu, do której włożony stanik z niebieskiego pluszu w paski z atłasowem panier; koronki garnirujące przód sukni są także niebieskie. Na ryc. 36 dajemy suknię odrobioną z gładkiej różowej faille i z materyi adamaszkowej. Spódnica zakończona szerokim marszczonym wolantem, oszytym u góry wązką u dołu szeroką koronką. Panier przy staniku dane w dalszym ciągu z tej materyi co upięcie tylne. *(D. n.)*



U. 38. Ubranie wizytowe.



U. 39. Ubranie wizytowe ze stanikiem wyciętym. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—5.



Pl. 526.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.